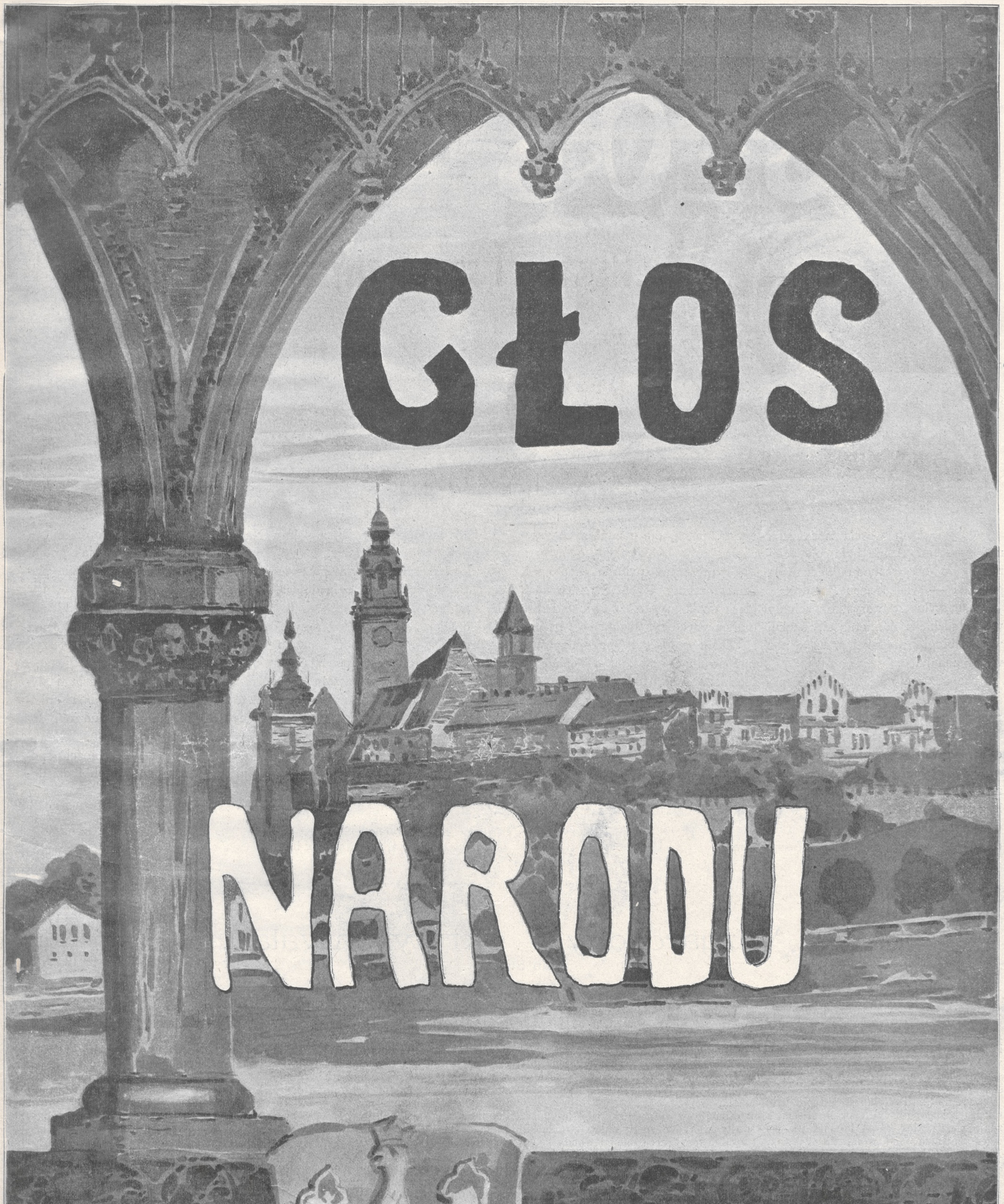


Drukiem A. Koziańskiego w Krakowie.



GWIAZDA.

Onego czasu weszła noc cicha nad światem. A nie była ona ciemną, bo od wschodu wędrowała gwiazda — wielka, jasna.

I uciszyło się wszystko, ucichły walki ludzkie i namiętności, spokój wszedł błogi i mieszkał przez tę noc w sercach ludzi.

Nie odzywały się na głuchej pustyni ryki lwów, a hyeny, szakale, ryjące groby cmentarne, przytuliły się do ziemi i patrzyły w blask cudownej gwiazdy.

W noc tę róża zakwitła bez cierni, a słowik śpiewał nie tak żałośnie, lecz wesoło i jakoś radośnie, jak w dawnych czasach, gdy ujrzał w raju dwoje kochających się ludzi miłością czystą, jasną, nie splamionych grzechem.

Tymczasem gwiazda szła i widziała oceany. Kąpała w nich swój blask świetlany, a zdziwione twory morskie ciekawie wyglądały z głębin.

Duch miłości i spokoju powiał nad światem i wstąpił w serca maluczkich, w serca ludzi dobrej woli.

Potem na pustynie przyszła i tam ją ludzie zoczyli i pytali się jeden drugiego, co ta gwiazda ma znaczyć? Byli to tacy, co postanowili iść za nią.

Wybrało się w drogę trzech z wielbłądami i darami i szli, sami nie wiedząc, po co idą — a gwiazda przed nimi.

Skały rozstępowały się, a palmy chyliły swe wyniosłe głowy.

Wielbłądy szły raźno, bo i w zwierzęta wstąpił duch, wiejący nad światem.

Szli tak dość długo, aż przyszli w krainę pagórkowatą nad morzem, przez której środek przepływała rzeka, — gdzieś daleko błyszczały śniegi na szczytach, stoki czerniły się cedrem i limbą.

Tam gwiazda zaczęła błyszczeć silniej i stanęła nad małą mieściną.

Trzej ludzie ze wschodu, zdziwieni, zatrzymali się. W powietrzu rozlegały się jakieś cudne śpiewania i widać było jasność wielką.

Zbliżyli się tam, skąd jasność biła.

Na sianie w żłobie leżało dziecię, a przy niem starzec, siwy, jak gołąb, i niewiasta młoda, z cudownie pięknem obliczem.

A ludzie trzej ze wschodu poznali, że z tej stajenki szedł na świat duch miłości i spokoju i — uderzyli czołem.

Gwiazda świetlana zgasła i słychać było cudne śpiewania anielskie: »Spokój na ziemi ludziom dobrej woli!«

Od tego czasu duch miłości i spokoju zamieszkał w sercach ludzi dobrych.

Bogusław Serwin.

Wzgardzony — Okryty Chwałą.

Jan Świerk.

Więc dzień Wigilii nadszedł...

Rozścieliła się w około mgła srebrnoszara... rozwiesiły się na gałęziach wierzb i olch przydrożnych jakieś puchy szronowo-szklące... niebo zasunęło się jednostajną płachtą śniegowo-perłową... a wioska śpi...

Lecz nie!... To tylko wśród pól, łąk, miedz i zagonów, dróżek i ścieżynek zdaje się, iż wieś spi — bo nikt nie jedzie, nie idzie, nie woła, nie śpiewa... Ale w chatach jest ruch...

Czy nie wiem o tem?...

Przez szybki mego okienka widzę jak u sąsiadów zwijają się żywo. Mówiły mi dzieci w szkole jeszcze wczoraj ile to roboty będzie po chatach... Obrazy ubiera się barwinkiem i choiną, słomę ścieli się po całej stancyi — na środku u belki zawieszony jest „sad“ — a na wigilię gotuje się kasza, pierogi, barszcz, „suszenice“, ryba i kluski... Pomodlą się — przełamią opłatkiem, zasiędą do stołu, a potem ozwie się pierwsza nuta kolendy, za nią pójdzie druga, trzecia, aż wreszcie wioska cała pocznie śpiewać radośnie. A potem ozwą się dzwony kościelne — lud wysypie się z chat — pójdzie o północy na pasterkę i w kościele pocznie śpiewać z całej piersi i serca całego... „W żłobie leży“.

Mrok zapada...

Sprzęty w mej izdebce zlewają się w jakąś dziwną i niekształtną masę. Ta szafka z książkami, która zwykle w chwili spoczynku, staje się mą przyjaciółką najbliższą i towarzyszką najmilszą — dziś — jakże dla mnie zdaje się niemiłą i ponurą. Po co mi jej książek? Po co mi tych myśli, które z niej ku mnie spływają?... Po co mi tych granic świadomości wielu rzeczy i rozumienia wielu wrażeń, gdy ja — dziś — w taki wieczór wielki — święty — — jestem sama... sama.. sama!!...

Znacie wy wielkość skrzydeł tęsknoty? Niosły was one kiedy daleko — daleko i rwały was jeszcze dalej i wołały swym lotem do szybszego gonienia za tem — czego nam brak...

Kogo pytam?... Tych wierzb, które stoją oszklone szronu pryzmatami i tak są szczęśliwe, a ciche w sobie jak owe serca, którym tęsknicy skrzydła nie odrastały. Pytam tych chat, które w około mej chaty rozsiadły się jak kokoszki z pisklętami, a którym tęsknicy droga nigdy dalszą nie była jak do granicy owych pól i łąk...

Coraz ciemniej.

Jak cicho i pusto mi dziś tu — tu, gdzie rok prawie cały byłam sama jak teraz, a przecież nie czułam tej pustki w około...

U Konolków już zapalili światło. U Solibów także. U tej wdowy Prożnickiej także dni wesołe. Wszak widzę — rysują się cienie na szybkach okienek; pewnie Zośka, co służy w mieście, przybiegła do matki, pewnie Kubuś z wojska dostał urlop...

Tak! nawet oni są razem i przełamią się opłatkiem, a ja?... a ja?...

Ręce mi opadły jak skrzydła złamane w locie — głowa mię pali jak wulkanu wnętrze, a myśli szumią, huczą, jęczą, rwą się i lecą, lecą — lecą...

Znacie wy skrzydła tęsknoty?... Takie czarne jak ból — ciężkie jak krzywda — a wielkie jak sieroctwo moje. Niosą mię w dal, a ja nie mam kąta do którego bym dolecieć chciała... nie ma w świecie dla mnie nigdzie serca, przy którem bym zapłakać mogła...

On?...

Kto wyszeptał jego imię?... Czy to ty pustko mej chaty jego imieniem ozwałaś się? Czy to ty wichrze mroźny, coś zaszumiał płynąc z nad pól rozległych, dźwiękiem jego imienia uderzyłeś o szyby mego okienka?...

On?...

Wszak zapomniał!...

Prysły sny marzeń, wiary i nadziei już dawno. Z nauczycielką biedną, nauczycielką sierotą, która poszła między chaty, która znikła dla zabaw, rautów i balów — wszakże się nie żeni człowiek wielki i sławny. Przybladły lica, zgasły oczy, czoło zasępiło się troską i bólem, uśmiech na ustach zamarł — bo tak u biednej, męczonej, upadającej pod ciężarem trudu i pracy nauczycielki być musi — — a jemu tam — przesuwają się strojne panie, czarujące wdziękiem i powabem... O tak! Praca kobiety — w obec miłości — to kosa ścinająca kwiaty. Gdybym — gdybym ja nie była odeszła z tego świata strojów, zabaw i balów, gdybym nie była tak w dali od niego, od wesela i uśmiechów, kto wie — możebym dziś — w wieczór wigilii miała się z kim przełamać opłatkiem, możebym ja miała dziś komu zawisnąć na szyi w serdecznym uścisku — możeby i mnie dziś szepnął kto słowo życzliwe...

Jak tu zimno! Jak tu wiatr bije w szyby uporczywie? Jak ciemno!... Ta izdebka moja mała zdaje mi się w mroku nocy jakaś wielka — wielka, daleka, zdaje mi się, że nawet jej ściany odsunęły się dziś odemnie, nawet jej miłosierdzie, osłaniające mię od burz i gromów, teraz zamarło...

Dlaczegóż mnie tak strasznie smutno?...

Czyż nie było to wszystko zawsze jak teraz? Czyż lud mój nie trzymał się zdala od szkoły? Czyż dwór pyszny, wielki, bogaty kochał kiedy tę szkołę i nauczycielkę?... Nie jeden taki wieczór przesiedziałam tu sama w zadumie najgłębszej, niejeden raz czułam to, iż nie mam nikogo i nic w świecie prócz pracy, a jednak dziś — — zdaje mi się, że stanęłam na jakimś krańcu bezdenności, a teraz wpadam w nią — lecę i — tonę...

. . . .

Śpiewają?

Tak jest. To idą z gwiazdą i szopką. Poznaję głosy dzieci. Szczepanek gajowego najgłośniej wyśpiewuje... „Wzgardzony — okryty chwałą... Śmiertelny — król na wiekami, a Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami!...

Ile to lat minęło od tej pory, gdy i ja byłam szczęśliwa, gdy i ja łamałam się opłatkiem z rodzicami, bratem i z nim?...

Mogiły — pokryły najbliższych i naj-

droższych mi. Brat nie zna siostry, święta, wspomnień i rodziny. Jemu idea socyalizmu stała się wszystkiem... Jesteśmy dla siebie bardzo dalecy i obcy!...

Lecz dlaczego mi to wszystko przypomina się! Dlaczego siedzę i płaczę?... Czyż ja nie jestem zawsze sama? Czyż ja jedną wigilią tak przepędziłam, iż biorąc opłatek do ręki szeptałam w duchu imiona drogie mi i z niemi w myśli łamałam się?...

Bo i pocóż ta melancholia, ten ból, ta tęsknica?... Jeszcze godzina — dwie, a skończy się wieczór uroczysty — sen przyjdzie, ukołysze i tych, którzy się dziś bardzo weselili i tych, którzy płakali z głodu i nędzy, i tych, którzy jak ja — byli sami...

Lecz to dziwne.

Coś mię przykuło niemocą do miejsca. Coś mię owionęło jak hipnotycznym snem i zdaje mi się, iż gdyby teraz gwałtownie było potrzeba zaświecić lampę — jabym tego nie zrobiła — nie! nie!...

Niech tam płoną światła u choinek, u szopek ubożuchnych, u stołów wigilijnych, gdzie jest święto dziś wielkie, prawdziwe... ale u mnie — nie!...

Tęsknica mię porwała i uniosła.

Tak jest, mnie tu nie ma...

Zbudził się olbrzym w mem sercu i rozszarpał go swoją mocą... Zerwała się burza i zniweczyła moją ciszę — równowagę — spokój ten, jaki dawała praca...

Pracowałam długo, cicho, wytrwale... tyle dni, tygodni, miesięcy; miałam dla dziatwy ludu uśmiech — piosenkę, miłość, cierpliwość... tyle dni, tygodni, miesięcy siałam i siałam na tym ugorze, na tej niwie rozległej, a serce me siebie nie znało, myśl moja mnie nie widziała, dusza moja mnie — nie szukała. O Boże!... W tej odrobinie życia mego, która zamyka się w jednej takiej walce ducha mego, dodaj mi siły, męstwa — złam moc wspomnień i pamięci!!

. . . .

Przyszli pod okno — gwiazda ich kolorami się mieni, a dziecięce głosy nucą radośnie...

Czy im to przyjdzie na myśl zapytać, z kim uboga nauczycielka przełamała opłatek? Z kim zasiąść miała do stołu wigilii?... Oni mają swoje chaty w około a w każdej chacie ich blizcy — tu krewni, tam „chrzestni“, tu sąsiedzi, tam „swoi“, czy oni pojąć mogą jak ja jestem tu sama?...

Oj! przełamałam ja dziś opłatek z tęsknicą tą straszną, która do mnie przyszła, ogarnęła mnie, bólem napoiła, żalem nastroiła, smutkiem owinęła... oj! miałam ci ja gości wielkich, dość miałam... teraz będzie cisza...

Trzeba wstać — dać dzieciom kolędę i powiedzieć: dziękuję wam... wszak one mnie kochają tak, jak kochać umieją. A kto wie, może kiedy przyjdzie taka wigilia, w której do mnie zapuka ktoś ze wsi i powie: przełam nauczycielko z nami opłatek, abyś sama nie była...

Jakże to już późno? Już północ i na pasterkę dzwony wołają?

Ciężko się nogi wloką, usta ledwie mogą wymówić „dziękuję“, gdy dziatwie daję kolędę za kolędą... a chociaż zdaje mi się, iż niedługo w zadumie przesiedziałam, czuję, iż przeżyłam bardzo wiele...

Pójdę do kościoła. Sama? Cóż mi się stanie... Kto mię spotka, to będzie znajomy. Czyż nie zrobiłam dobrze, iż Maryni pozwoliłam pójść do matki na wigilię? Czyż nam jej psuć szczęście dlatego, ażebym nie była sama?... Nie zapłacę jej, jako służącej za niewolnictwa ciężary, ale zapłacę jej za trudy pracy... To jej prawem jest żądać dla siebie szczęścia także...

Ciągle dziś słyszę tę piękną kolędę... „Wzgardzony — okryty chwałą“ — a jej melodya jest własnie ową siecią wspomnień budzących się...

On śpiewał to zawsze ze mną... Głos jego tak miły i serdeczny... A wtedy — gdy przyjechał na święta uszczęśliwiony po zdaniu egzaminu, gdy wreszcie stanowczo żądał obietnicy, iż miłości nie odrzucę, ani sercu się zmienić nie dam, tak samo u nas pod oknami kolędnicy śpiewali wesoło...

I patrzył płonącym wzrokiem w me oczy i mówił:

— Zaczekasz?

I trzymał mą rękę w swoich dłoniach i pytał:

— Będziesz stałą?...

Miałam zaczekać dwa lata, aż on uzyska posadę odpowiednią, aż jeszcze ostatni egzamin dający tytuł doktora złoży...

Od tej pory przeszło lat sześć...

Akademik kochał biedną seminarzystkę, ale doktor nauczycielki ludowej nie znał...

Zapewne! Posag to nie mgły marzeń, protekcye to nie złudne rojenia, a pamięć da się łatwo wyleczyć...

Wichrze!... Czemu nucisz tak straszne?... Ciszo mej pustej izdebki — czemuś tak nieskończenie milcząca... O myśli ma — po co sięgasz w głąb serca i ranę rozkrwawiasz?...



JUTRZENKA.

Czy wy znacie moc tęsknicy?... wy?

. . . .

Lampę zaświecam — modlę się i biorę opłatek do rąk...

Łamię się z tobą samotności ma wielka — łamię się z tobą tęsknico ma czarna, łamię się z tobą smutku mój cichy — łamię się z wami wspomnienia me jasne i świetlane...

Teraz mogę i ja zanucić kolędę, po zwyczaju dawnym. Ale głos drżący jest i łzy go dławią.

A czy to ja jedna taka sierota sama, jedna na świecie wielkim? A czy to ja jedna taka złamana i zbolała bardzo?... A czy to ja jedna tak bez nikogo wśród tylu blizkich, dla których niosę serce i życie?...

Przecierpię, przeboleję i pójdę dalej na moją ścieżkę pracy wśród ludu.

A teraz — dzwony wołają: Bóg się rodzi!...

Idą ze wsi gromadkami...

Śmieją się... rozmawają...

Ja wkładam płaszczyk, chusteczkę — chcę iść; lecz nogi ciężkie jak ołowiane, a w skroniach ból jakiś dokucza dziwnie... Nic nie pomaga... Tęsknicy ciężkie skrzydła gniotą mię... tak mi źle — tak samotnie — tak pusto...

Puka ktoś?...

Otwieram...

O Boże!... to On!...

Jest — przybył — ten sam — mój!...

Nie! nie!... to od Ziębów przysłali po lekarstwo, bo dziecko zachorowało.

Pasterka rozpoczęła... lud śpiewa silnym głosem, a ja pochylam głowę coraz niżej i powtarzam przez łzy: „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami“ — Taka to wigilia ubogiej nauczycielki.

A w stolicy — we wspaniale urządzonem mieszkaniu u doktora X... dziś wesoło i gwarno. W salonie, płonie setką świateł choinka, której gałęzie, aż się chylą w dół pod ciężarem rozwieszonych świecidełek, łakoci, cukrów i podarków kosztownych. Piastunka trzyma na ręku dziecinę, a ta w dłonie klaszcze i woła ca-ca... Dwoje starszych dzieci siostry pani doktorowej, okrzykami radości wita odkrytą co raz jakąś inną zabawkę na choince... Pani doktorowa szumiąca jedwabiami, lśniąca brylantami, prowadzi bardzo miłą rozmowę z panem W..., który jest tu codziennym gościem, a tak zajął myśl jej i serce, iż trudno oprzeć się jego urokowi...

Lokaj roznosi herbatę... goście bawią się wesoło...

A doktor?

Stoi w framudze okna, wzrokiem błądzi po gwiazdach migocących w oddali... a myślą szuka tej — — która mu się zawsze w taki wieczór przypomina.

— Gdybyś tu była... szepce do siebie z tęsknotą i żalem. O! gdybyś ty była moją żoną, matkę mego dziecięcia, panią mego domu... Maniu!... gdybyś ty była!... Stokroć szczęśliwszy, kto jak ja — ducha i serce kobiety odtrąci, a weźmie złoto i blichtr za szczęście życia!...

. . . .

W trzy dni potem, wyczytał doktor w dzienniku wieść o nagłej śmierci nauczycielki ludowej w dalekiej wsi podgórskiej.

Pani doktorowa żaliła się przed gośćmi, iż mąż jej nudny, zimny i skończony dziwak. Zamyka się w swoim pokoju, a nawet do dziecka nie zaśmieje się wesoło.

Powracasz znowu!

Przez odmęt bólu, przez rozpaczne zgrzyty
I przez łez ludzkich przepastne otchłanie
Ty idziesz, wielki, zorzami spowity,
Zwycięzco bólu i śmierci — Ty, Panie!
Jak przed wiekami, znowu drgają świty;
Płyną łzy ciche i radosne łkanie
Wstrząsa piersiami ludzkości sierocej,
Bo Ty znów wracasz pośród głuchej nocy.

Powracasz znowu, by ponad mogiłą,
Gdzie milijony grobów się zawarły,
Gdzie zdradą, gwałtem i bezprawia siłą
Narody Twoje marne gnębią karły —
Słońce zabłysło — i znowu świeciło,
Aby z przekleństwem na ustach nie marły,
Aby ujrzały tęczę przebaczenia
I nie zaparły się Twego imienia!

Powracasz znowu, a przed Tobą płynie
Ta Boska, wielka i niewysłowiona
Radość i szczęście, jak w onej godzinie,
Gdyś po stworzeniu przycisnął do łona
Cały ten wszechświat, gdyś po wielkim czynie
Świetlane nad nim wyciągnął ramiona
I zlał nań bytu tajemnicze moce
I słońca rzucił w te odwieczne noce.

Powracasz znowu, a pociechy zdroje
Sączą się w serca, zatrute goryczą!
W duszy powstają dziwnych świateł roje;
A choć w oddali gromy nieszczęść ryczą,
Cały świat woła: „Święć się imię Twoje!“
I balsam spływa falą tajemniczą
W to pasmo życia bezbarwne i mgławe —
I znów się goją wszystkie rany krwawe.

Michał Magiera.

PTAK PRZELOTNY.

Obrazek ludowy.

NAPISAŁ

Konstanty Krumłowski.

(Ciąg dalszy.)

Ci ostatni, z całem poddaniem się niezbadanym wyrokom opatrzności — przyjmowali z jej rąk to „złe“ — złe konieczne, uosobione w najmłodszej córce, jak przyjęli „dobre“ w ożenieniu się najstarszego syna, przychówku z krów

kilku setek zawiniętych w szmacie na dnie skrzyni.

Gdy ich słuchy lub wyrzuty z powodu córki dochodziły, wszystkie skrupuły, czy może i niewyraźne wyrzuty sumienia zażegnywali fatalistycznem:

— „Nieszczęście i tyla!“

V.

Inaczej zapatrywał się jednak na rzecz tę ksiądz proboszcz.

Staruszek, cały oddany parafii, był o dobro duchowe swej owczarni niezmiernie dbały. To też cieszył się zaufaniem gminy, która czciła go i uważała po prostu za zastępcę Boga w ich małym światku.

Z podróży prezydenta Krügera.



Krüger u prezydenta republiki francuskiej, Loubeta.

Plebania, stojąca opodal za wsią, była co niedzielę formalnie przez ludzi obleganą. Niemal każdy miał się z czemś zwierzyć lub pożalić czcigodnemu kapłanowi. Doradzał też im, pocieszał, pomagał, chrzcił im dzieci, łączył stadła, chował zmarłych i modlił się za wszystkich. Nic dziwnego, że i losy rodziny Prusaka — dziś jednego z najpoważniejszych gospodarzy we wsi — zajmowały żywo ks. proboszcza.

Nieraz też gorzkie wyrzuty czynił ojcu, ilekroć tenże zjawił się na plebanii.

Prusak ze spuszczoną głową wysłuchał zawsze w nabożeństwie reprymendy, powzdychał, utarł kilka razy nos rękawem i z ciężkiem sercem opuszczał plebanię, powtarzając po drodze do domu swoje ulubione:

— Nieszczęście i tyla!

Wpłynąć na córkę nie umiał. Nie mogłyby mu po prostu przejść przez gardło słowa z takimi zarzutami, tak obciążające własne dziecko... Alboż on nie miał więcej dzieci, nie wychował ich na chwałę Bogu i pożytek ludziom, tylko ta jedna, jedna...

— Ot! nieszczęście i tyla!...

Nieraz postanawiał sobie wytoczyć argumenta te przed księdza plebana — ale gdy nadeszła stanowcza chwila — jakby go coś za gardło trzymało — milczał i wzdychał tylko.

Wstyd i żal, a może i poczucie własnej niezaradności czy winy — odbierały głos starcowi.

Tak wracał pewnego razu z plebanii pochylony, ze spuszczoną siwą głową i czapką w ręku, którą zapomniał, wychodząc od proboszcza — wdziać na głowę.

W drodze spotkał go wikary.

Ksiądz wikary — w przeciwstawieniu do swego duchownego zwierzchnika, był niezmiernie żywego usposobienia, płynnej wymowy, człowiek towarzyski i nie gardzący rozrywkami, o ile one nie stały w sprzeczności z jego powołaniem i sukienką duchowną.

I teraz szedł pogwizdując wesoło, w jednej ręce trzymał słomiany kapelusz — w drugiej, nieco w tyle za sobą, ukryty mały karabinek flobertowy. Przy nogach jego szedł ładny legawiec.

Ksiądz wikary bawił się trochę w myśliwego i w wolnych chwilach chodził ze swoim flobertem i psem na ptaszki.

Nie widząc księdza — mijał go chłop właśnie.

— Hej! Prusak! — zadźwięczał mu nad uchem młodzieńczy głos.

Chłop podniósł głowę, otworzył nieco usta jakby oryentując się, a potem czapką do nóg się skłonił księdzu.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrowił ks. wikary, patrząc bystro w oczy Prusakowi.

— Na wieki wieków amen! — odpowiedział chłop pobożnie.

— Skąd-że to droga prowadzi?

— Od plebanije, od plebanije, z westchnieniem chłop odparł.

— No?...

— Jegomość źli na mnie okrutecznie, żalił się Prusak — z ambony mnie chcą wywołać...

— No! no! nie frasujcie się, już ja z ks. proboszczem pomówię — uspokajał wikary — ale wiecie co, Prusak, ja nie z ambony, ale tu — to samo wam powtórzę, że źle robicie.

Chłop przystanął i z rozpaczą w twarz wikaremu popatrzał.

— A cóż ja nieszczęśnik poradzę? Tej szelmie rady ja nie dam, bo z kija już dawno wyrosła, do roboty jej nie napędzisz, w chałupie jej nie upilnujesz, a mam-ci ja to czas albo matka ganiać za nią po świecie?!

— Dobrem słowem, człowieku, więcej zrobisz niż kijem — perswadował wikary, głaszcząc łaszącego się psa — powinieneś mieć z dzieckiem twojem cierpliwość i łagodność. Bo, jak słusznie pisze Paweł św. w pierwszym swoim liście do Rzymian w rozdziale piątym: „Ucisk cierpliwość sprawuje, a cierpliwość doświadczenie, a doświadczenie nadzieję“.

— Już ja się tam niczego dobrego po niej nie spodziewam — mruknął chłop sceptycznie.

— To źle gospodarzu! nadzieja jest jedną z głównych cnót ewangelicznych.

— O! dyć ja wiem — usiłował chłop tłómaczyć się — że Jegomość umie bardzo pięknie gadać, ale ja chłop nikczemny.

Ale ks. wikary już nie słuchał.

Gościniec prowadził brzegiem lasku. Pies wyprzedził idących, podbiegł pod jedno drzewo i stanął nieruchomo, upatrując czegoś w gałęziach. W ślad za nim posunął cichym krokiem ks. wikary i stanąwszy za psem, utkwił wzrok w drzewie.

Za chwilę zatrzepotało coś w gałęziach, pies szczeknął i ks. wikary spuścił swój flobercik.

Z rozczarowaną miną wrócił do chłopa stojącego z drugiej strony gościńca.

— Nie uwierzycie gospodarzu co za podły pies — żalił się z irytacyą — każdego mi ptaka przepłoszy!... Poszedł precz! krzyknął z gniewem na psa, który po admonicyi stulił ogon pod siebie i pozostał trochę w tyle.

— Ale o czemże to mówiliśmy — ciągnął młody duchowny dalej — aha! o waszej córce... I cóż?

— A no nic — odparł chłop — nieszczęście i tyla.

— O ile słyszałem — odrzekł wikary, oglądając się z żalem na drzewo — o ile słyszałem, dziewczyna wasza zła nie jest, jeno bardzo zaniedbana i nauka, we właściwej formie duszy jej podana...

Z rezygnacyą machnął chłop ręką.

(C. d. n.)

O kalendarzach.

W ostatnich miesiącach kończącego się roku mamy także powódź. Na szczęście wylew to mniej szkodliwy, niż kapryśnej Wisły, lecz zawsze wylew... kalendarzy. Obok wydawnictw istotnie odpowiadających celom i przez szereg lat, mających wyrobioną markę, pojawia się moc efemeryd kalendarzowych bez żadnej wartości. A szczególniej owe kalendarzyki pseudo-humorystyczne... Lecz podczas wylewu kalendarzowego najstosowniejsza pora do gawęd o... kalendarzach. A przedewszystkiem oto ich rodowód etymologiczny.

W języku greckim *kaleo* znaczyło: przyzywam, zwołuję; że zaś u rzymian najwyższy kapłan na początku każdego miesiąca zwoływał lud do Kapitolium i ogłaszał długość rozpoczynającej się lunacyi, ztąd też pierwsze dni miesiąca nazwano *calendae*, a księga, w której zapisywano lata, dni i odmiany księżyca *calendarium*. Rzymianie liczyli lata od założenia Rzymu, lecz kalendarz ich w wielkim był nieporządku, czemu zapobiegł Juliusz Cezar, sprowadził z Egiptu astronoma Sosigenesa, polecając mu zreformowanie rachuby czasu. Reforma ta nastąpiła w 708 roku od założenia Rzymu, a na 45 lat przed Narodzeniem Chrystusa i dała nazwę kalendarzowi Juliańskiemu, który rachubę czasu zastosował jedynie do roku słonecznego, a obroty księżycowe jako źródło wszelkich błędów, całkiem z nich usunął.

Chrześcianie na wniosek Dyonizyusza Małego porzucili zwyczaj liczenia lat od założenia Rzymu, a Narodzenie Chrystusa przyjęli za początek nowej ery. Pomijając powszechnie znaną różnicę między kalendarzem Julijańskim, a Gregoryańskim, czyli t. z. starego i nowego stylu, nadmieniamy tu tylko, że kalendarzowa reforma Papieża Grzegorza XIII, według tabeli astronoma Liliusza, została w 1582 r. wprowadzoną kolejno: we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii i we Francyi. Niderlandy i Niemcy przyjęły nowy styl w roku następnym, Węgry w 1587 r., protestanci zaś dopiero w 1700 r. przemieniwszy 19 lutego na 1 marca.

W Polsce poprawa kalendarza nastąpiła *jednocześnie* co do miesiąca i roku z Rzymem, a najwcześniejszy dokument po reformie kalendarzowej (za Stefana Batorego) nosi datę 1 listopada 1582 roku. Wogóle rok 1582 otrzymał u nas nazwę roku poprawy kalendarza *annus correctionis*. Reforma nie wywołała w Polsce ani wzburzenia umysłów ani żadnych wypadków.

Kalendarze astronomiczne powstały z początkiem XV wieku, kiedy akademia krakowska pozyskała katedrę astronomii i astrologii (co wówczas jedno znaczyło), a profesor obu tych przedmiotów obowiązany był układać kalendarz coroczny, w którym przepowiednie meteorologiczne i... gwiaździarskie najważniejszą grały rolę. Szczególnie zasłynął od 1424 r. profesor Henryk Czech (Bohemus), który był zarazem nadwornym astrologiem Władysława Jagiełły, wierzącego we wróżby astrologiczne, jak zresztą wszyscy współcześni.

Kalendarze krakowskie tedy osiągnęły wziętość, że w Wiedniu i Heildelbergu wychodziły p. t. *Practica Cracoviensis*. Na początku XVI-go wieku układali je Jakób z Iłży i Mikołaj z Tuliszkowa, naturalnie po łacinie. W języku polskim najdawniejszy znowu kalendarz pochodzi z 1516 r., pierwszy zaś Gregoryański ukazał się w Krakowie po łacinie 1583 r.

Najnowsze wynalazki.



Elektryczny szybkobiegacz wyruszający w drogę.

W następnym, XVII wieku, wziętość kalendarzy przeszła do akademii w Zamościu, gdzie profesorem astronomii był Stanisław Niewieski. Ogół oświeceńszy nie bardzo jednak wierzył w przepowiednie kalendarzowe Niewieskiego, kiedy przechowało się z tych czasów przysłowie:

Nie zgadnie pan Niewieski
Co zrobi Pan Niebieski.

Za czasów saskich zasłynęły kalendarze Duńczewskiego. Pierwszy z nich ukazał się w 1725 r. w Krakowie i odtąd wychodziły przez pół wieku z górą, stanowiąc najponętniejszą książkę w przeciętnym dworku szlacheckim. Pomieszczał w swoich kalendarzach Duńczewski wiadomości i rozprawki historyczne, różne wiersze, przepisy i uwagi gospodarskie, czasem ciekawe, często niedorzeczne. Z tego to czasu właśnie datuje się żartobliwie: „koncept z kalendarza".

Jednocześnie z kalendarzem Duńczewskiego zaczęli wydawać kalendarzyki polityczne OO. Jezuici w Wilnie, Warszawie, Poznaniu, Kaliszu i Lublinie. Później wydawali je Pijarzy, których t. zw. „Kolędy" trwałą się cieszyły wziętością. Za Stanisława Augusta wychodził stale z drukarni Piotra Zawadzkiego kalendarzyk w formacie małej szesnastki p. t. „Kalendarzyk krajowy i zagraniczny dla korony polskiej i W. X. Lit. W takim kalendarzyku na rok 1793 znajdujemy oprócz zwykłego *calendarium:* spis wszyskich królów polskich z datami panowania, dalej genealogia monarchów państw europejskich, wreszcie wykaz „Stanów Rzeczypospolitej" czyli spis senatorów, posłów, urzędników, województw i powiatów.

Wreszcie w końcu mieścił się tam zbiór krótki politycznych odmian i przypadków znaczniejszych w ciągu 1792 r. zaszłych. Słynęły też w całym kraju „kalendarze gospodarskie" w Berdyczowie przez OO. Karmelitów od 1777 r. wydawane i bardziej znane pod nazwą Berdyczowskich. Wychodziły one aż do roku 1840, t. j. do czasu przeniesienia drukarni karmelickiej z Berdyczowa do Żytomierza.

O kalendarzach warszawskich z bliższej nam epoki wspominamy tylko o wydawnictwach Skrybskiego i Jaworskiego, mających w swoim czasie dużą wziętość. Najdawniejszym zaś, bez przerwy wychodzącym jest kalendarz Ungra podług Sobieszczańskiego. Do roku 1860 mieliśmy oprócz wymienionych polskie kalendarze drukujące się w miastach: Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Kaliszu, Gdańsku, Toruniu, Królewcu, Chełmie, Elku, Opolu, Wrocławiu, Gliwicach, Bytomiu, Supraślu, Grodnie, Mohilewie, Bochni, Przemyślu, Stanisławowie, Wadowicach i Cieszynie.

Należy jeszcze w zakończeniu tej gawędy kalendarzowej przypomnieć, że ciągu tylu wieków ery chrześcijańskiej, jeden tylko kraj przed 107 laty w rozpasaniu rewolucyjnem, obalając religie, zniósł również i kalendarz, mający za punkt wyjścia Narodzenie Chrystusa. Stało się to we Francyi, gdzie zaczęto liczyć erę rewolucyjną, miesiące przeinaczono, niedziele skasowano a co dziesięć dni obchodzono dekady. Stan ten trwał przecież niedługo, lecz do historyi kalendarza przybył epizod, jako *curiosum* nawrotu prawnopaństwowego ku poganizmowi.

Preszernów Album.

(1800 — 1900)

Grudniowy zeszyt „Lublańskiego Dzwonu" poświęcony jest cały Preszernowi. Najwybitniejsi dzisiejsi poeci słoweńscy (Aszkerc, Gangl, Zupanczic) złożyli tu swoje rymy w hołdzie mistrzowi. Do dziś żyjąca córka poety p. E. Jelowszek przysłała do liczby nowelistycznych utworów jubileuszowych wspomnienie z lat młodocianych p. t. „*V samotni uri*".

Artykuły literackie i krytyczne odnoszą się również ściśle do osoby wieszcza i jego dzieł. Treść ich stanowią: socyalne problemy u Preszerna, tekst jego pieśni, stosunek krytyki do dzieł jego, Preszeren w szkole i. t. p. temata. Między prace ściśle naukowe wplecione są nieogłoszone dotąd utwory poety zarówno słoweńskie jakoteż niemieckie. Znajdujemy tu i tłomaczenia po kilka pieśni na języki obce, mianowicie: rosyjski, włoski, i szwedzki.

Ciekawe są artykuły o przekładach dzieł poety słoweńskiego na inne języki. Z narodowości nie-słowiańskich najlepiej znają Preszerna Niemcy. Sam bowiem poeta pierwsze wiersze na język niemiecki tłomaczył a pieśń „*Dekletam*" (dziewczętom) ogłosił w obu językach w „Illyrisches Blatt" r. 1827. Prócz siebie znalazł aż 12 tłomaczy niemieckich, w ich liczbie jest Luiza Pesjakowa, jego uczenica. Tłomaczono tosamo po razy kilka, wszystkiego nie przełożono, aczkolwiek zbiorek to nie wielki, bo jednotomowy. Mniej o wiele znają pieśni Preszerna Włosi i Szwedzi.

Inny stosunek winien być wśród współplemieńców, ale tylko winień, bo w rzeczywistości rzecz się ma podobnie. Serbo Chorwaci i literatura rosyjska posiadają po wiązce wierszy Preszerna w przekładzie. Czeskiej poezyi przyswajano już dwukrotnie utwory poety południowego, ale i to nie w całości. W roku dopiero jubileuszowym rozpoczął przekład wszystkich utworów p. Jaromir Borecky i kilka pieśni ogłosił w zeszycie grudniowym Słowiańskiego Przeglądu, który jest również jubileuszowi Preszerna poświęcony.

„Prawie zupełnie nie znają Preszerna Słowacy, *Polacy,* Małorusini Bułgarzy". Tak powiedział autor artykułu „Prešeren med Slovani", tosamo stwierdził Polak we wspomnieniu, poświęconem Preszernowi w „Kraju". Ale i my go poznamy, a zacząć musimy od prób i urywków.

Jan Fr. Magiera.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Ta rozmowa przeciągnęła się jeszcze z pół godziny i na Andrzeja Efimycza wywarła wielkie wrażenie. Chodził rano i po obiedzie i często zmrok wieczorny zastawał go jeszcze na pogadance z Janem Dmitriczem. Z początku ten ostatni stronił, podejrzewając go o złe zamiary i okazując wielką nieufność. Później przywykł do niego i swoją bojaźliwość zamienił na ton ironiczny i sarkazm.

Niedługo po szpitalu zaczęły obiegać pogłoski, że doktor Andrzej Efimycz chodzi codziennie do oddziału pod Nr. 6. Nikt, ani felczer, ani Nikita, ani dozorczyni nie mogli zrozumieć, dlaczego tam chodzi, dlaczego przesiaduje tak długo, o czem mówi, a nigdy żadnych recept nie przepisuje. To wydało się im dziwnem. Michał Awierjanycz często nie zastawał go w domu, czego nigdy dawniej nie było, a Darruszka była smutna, że doktor w swoim czasie nie pił piwa i na obiad często się spóźniał.

Jednego dnia, przy końcu kwietnia, doktor Hobotow przyszedł za interesem do Andrzeja Efimycza, a nie zastawszy go w domu, poszedł go szukać po szpitalu. Tam powiedziano mu, że stary doktor jest u obłąkanych. Wszedłszy do sieni i zatrzymawszy się w drzwiach, Hobotow usłyszał taką rozmowę:

— My nigdy nie zrozumiemy się, a nawrócić mnie na swoją wiarę wam się nie uda — mówił Jan Dmitricz podrażniony. — Rzeczywistość jest dla was obcą, nigdy pan nie cierpiałeś, tylko jak pijawka karmiłeś się cudzemi bólami. Ja za to cierpiałem od urodzenia. Dlatego uważam siebie za kompetentniejszego od pana pod każdym względem. Nie wy mnie będziecie uczyć.

— Ja zupełnie nie mam zamiaru nawracać was na swoje poglądy — mówił doktor z pewnym żalem, że go nie chcą zrozumieć. — I nie w tem rzecz, przyjacielu, żeś pan cierpiał, a ja nie. Cierpienia i bóle przechodzą, zostawmy więc je na boku, Bóg z niemi, ale rzecz w tem, że my myślimy i nie widzimy w sobie ludzi, którzy zdolni są analizować i to nas czyni solidarnymi, choćby najwięcej krańcowe były nasze poglądy. Gdybyś pan wiedział, jak mnie już znudziła głupota, niezaradność i tępe umysły, i z jaką ja przyjemnością z panem rozmawiam. Jesteś pan niezwykle rozumny człowiek i ja interesuję się panem.

Hobotow uchylił szerzej drzwi i zajrzał ciekawie do środka. Jan Dmitricz i doktor Andrzej Efimycz siedzieli razem na łóżku. Obłąkany drgał i coraz szczelniej owijał się w chałat, a doktor, spuściwszy głowę, z twarzą zarumienioną, smutną, siedział nieruchomo. Hobotow ruszył ramionami, uśmiechnął się i spojrzał pytająco na Nikitę, który także głupio się uśmiechał.

Na drugi dzień Hobotow przyszedł do szpitala z felczerem, stanęli w sieni i podsłuchiwali.

— Oho, nasz staruszek już całkiem kiepsko — mówił, wychodząc, nowy doktor.

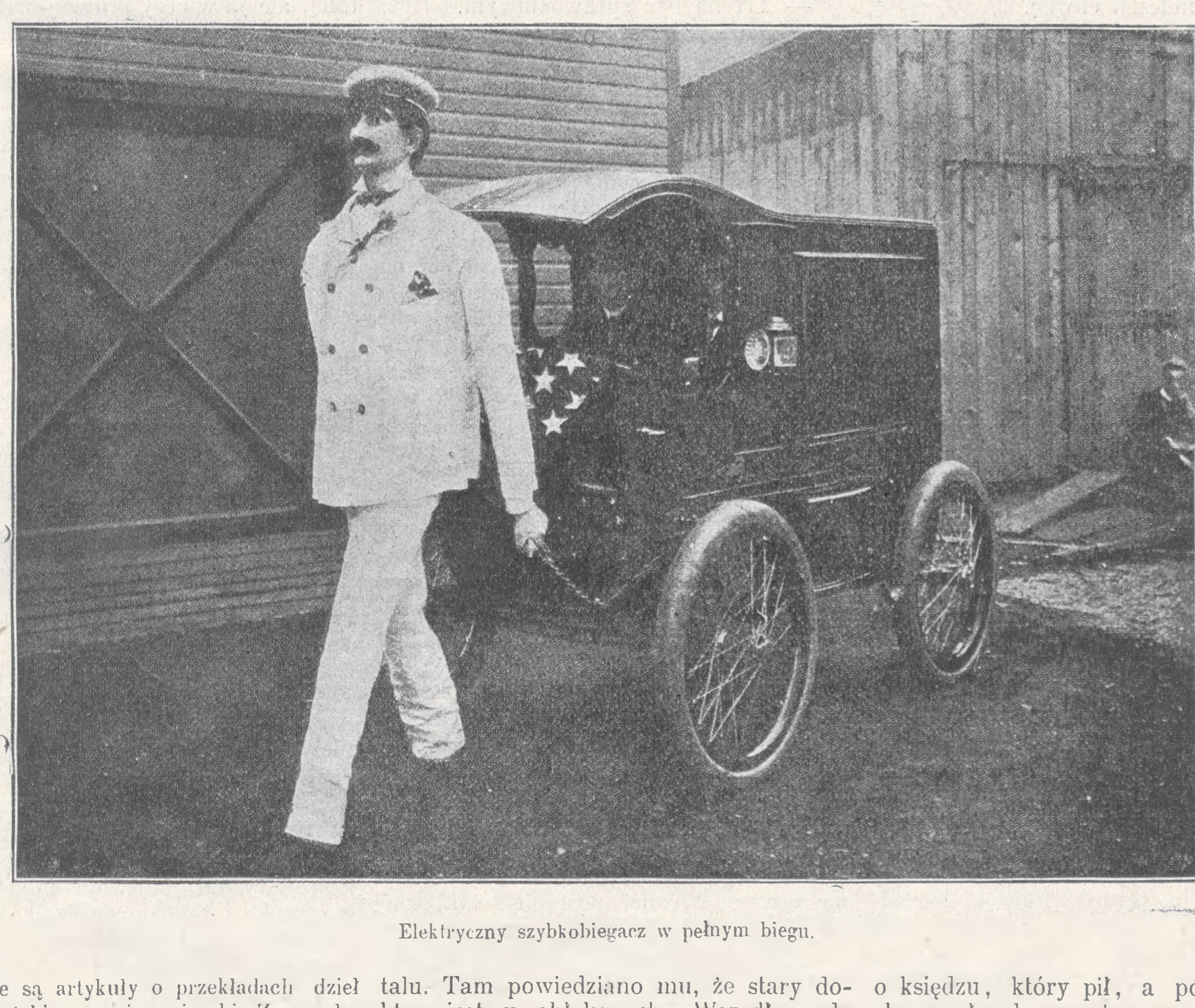
— Boże, zlituj się nad nami grzesznymi! — wzdychał nabożny Sergjusz Sergiejewicz, ostrożnie omijając kałuże, aby nie zabłocić wyglansowanych butów. — Muszę przyznać, szanowny Eugeniuszu Teodorowiczu, że ja już dawno oczekiwałem tego.

XII.

W jakiś czas potem Andrzej Efimycz zauważył dookoła siebie pewną tajemniczość. Dozorcy, dozorczynie i chorzy przy spotkaniu z nim pytająco nań patrzyli, a później coś szeptali. Mała dziewczynka Mania, córka jakiegoś szpitalnego urzędnika, którą bardzo lubił i przy spotkaniu w ogrodzie z uśmiechem gładził po głowie, obecnie, nie wiadomo dlaczego, od niego uciekała. Pocztmistrz Michał Awierjanycz, słuchając go, już nie mówił: „w zupełności prawda", ale z jakimś smutkiem powtarzał: „tak, tak, tak". Patrzył na niego ciekawie i troskliwie, radził mu, aby nie pić piwa i wódki. Nie mówił wyraźnie nic, ale wybiegami opowiadał o jakimś pijącym komendancie bataljonu, porządnym człowieku, to o księdzu, który pił, a później z tego chorował, ale przestawszy, obaj pozdrowieli. Dwa lub trzy razy odwiedził go kolega Hobotow; on także radził nie pić i bez najmniejszej racyi radził zażywać brom.

W sierpniu Andrzej Efimycz dostał wezwanie o przybycie do burmistrza, w ważnym interesie. Przyszedłszy o oznaczonej godzinie, doktor zastał tam miejskiego komisarza, naczelnika szkół po-

Najnowsze wynalazki.



Elektryczny szybkobiegacz w pełnym biegu.

Z wojny w południowej Afryce.



Franciszek Botha, jenerał armii boerskiej.

wiatowych, członka sądu, Hobotowa i jeszcze jakiegoś grubego, siwego pana, którego przedstawili mu jako doktora. Doktor ten, o polskiem, trudno brzmiącem nazwisku, mieszkał o trzydzieści wiorst od miasta i bawił tu w przejeździe.

— To jest zebranie w waszym interesie — odezwał się członek sądu do Andrzeja Efimycza, kiedy wszyscy, przywitawszy się, usiedli. — Otóż Eugeniusz Teodorowicz utrzymuje, że aptece jest za ciasno w głównym korpusie szpitala i że trzeba ją przenieść do oficyny. To nic wielkiego przecież, ale główną przyczyną, że szpital na to subwencyi zażąda.

— Tak, bez subwencyi nie obejdzie się, — pomyślawszy, odparł Andrzej Efimycz. — Jeżeli np. boczną oficynę odda się na aptekę, to przypuszczam, iż na to potrzeba minimum z pięćset rubli. Rozchód nieprzewidziany.

Wszyscy milczeli chwilę.

— Ja przecież już dziesięć lat temu podniosłem tę sprawę, że szpital obecny byłby rajem dla miasta, gdyby były środki po temu. Budowali go w czterdziestym roku, ale teraz inne wymagania. Miasto za dużo wydaje na niepotrzebne gmachy i niepotrzebne rzeczy. Ja myślę, że te właśnie pieniądze możnaby obrócić na udogodnienie szpitala.

— Czyli wprowadzić nowe porządki — prędko rzekł członek sądu.

— Ja już miałem zaszczyt to przedstawić. Proszę porównać możność medycyny i nędzę ziemiaństwa.

— Dobrze, ale i te pieniądze, które daje obywatelstwo, pokradną — zaśmiał się siwowłosy doktor.

— Bo tak się dzieje — potaknął członek sądu i śmiał się także.

Andrzej Efimycz spojrzał na nich i rzekł poważnie:

— Trzeba być sprawiedliwym.

Znów milczenie. Podano herbatę. Naczelnik, dosyć zmięszany, przez stół wyciągnąwszy rękę do Andrzeja Efimycza, rzekł:

— Pan zupełnie o nas zapomniałeś, doktorze. Czyż jesteś pustelnikiem? W karty nie grasz, kobiet nie lubisz, nudno ci, bracie.

Wszyscy zaczęli mówić, jak nudno w tej mieścinie. Ani teatru, ani muzyki, a na ostatnim wieczorze w klubie było dwadzieścia dam i tylko dwóch panów. Młodzież nie tańczy, lecz cały czas gromadzi się około bufetów, lub gra w karty. Andrzej Efimycz zaczął wolno mówić, jak to źle, że mieszczanie całą życiową energię, swoje serce i rozum wkładają w karty lub plotki, a nie potrafią i nie chcą przepędzać czasu na interesujących, naukowych pogadankach, na czytaniu, i cieszyć się zadowoleniem, jakie daje rozum. Bo tylko rozum coś wart, a wszystko pozostałe płytkie i nieciekawe. Hobotow uważnie wpatrzył się w mówiącego kolegę i niespodziewanie zapytał:

— Którego dziś mamy?

Odebrawszy odpowiedź, on i siwowłosy doktor tonem egzaminacyjnym zaczęli pytać Andrzeja Efimycza, jaki dzień obecnie, ile dni w roku i czy to prawda, że w oddziale pod Nr. 6 żyje ciekawy jakiś prorok?

Na ostatnie zapytanie stary doktor zarumienił się i rzekł:

— Nie prorok, tylko chory umysłowo, ale niezwykle miły człowiek.

Więcej go już nie pytano. Kiedy w przedpokoju kładł płaszcz, naczelnik położył mu rękę na ramieniu i, westchnąwszy, rzekł:

— Nam, starym, czas już odpocząć.

Wyszedłszy, Andrzej Efimycz dopiero zrozumiał, że to była komisya, dla przekonania się o jego umysłowym stanie. Przypomniał sobie pytania, które mu dawali, i po raz pierwszy w życiu zrobiło mu się żal medycyny.

„Boże mój — myślał, — przecież oni tak niedawno studjowali psychiatrję, składali egzamina, dlaczegóż ta wątpliwość? Oni pojęcia nie mają o psychologii“.

I po raz pierwszy w życiu uczuł się obrażonym i złym.

Tego samego dnia wieczorem przyszedł do niego Michał Awierjanycz; nie witając się, pocztmistrz podszedł do niego i, kładąc mu ręce na ramionach, wzruszonym głosem mówił:

— Drogi mój przyjacielu, pokaż, że mi wierzysz i że uważasz mnie za swego szczerego przyjaciela. Mój drogi — a nie dając mówić doktorowi, ciągnął: — ja szanuję cię za twoje wykształcenie i wielkość duszy. Posłuchaj mnie, mój drogi! Prawo nauki każe doktorom kryć przed tobą, ale ja w oczy prawdę-matkę gadam każdemu: ty jesteś chory. Przebacz mi, mój drogi, ale to prawda: wszyscy to już dawno zauważyli. Przed chwilą mówił mi Eugeniusz Teodorowicz, że dla zdrowia potrzebujesz odetchnąć i rozerwać się. O tak, prawda. W tych dniach wezmę urlop i pojadę. Pokaż, że mi jesteś przyjacielem i jedź ze mną. Pojedziemy, rozruszamy naszą starość.

— Kiedy ja czuję się zupełnie dobrze. Jechać nie mogę. Pozwólże mi w inny sposób okazać ci swoją przyjaźń.

(D. c. n.).

Tłóm. Bronisława Jeremi.

Z poezyj Preszerna.

„Kochanka i ja“ (1834).

Jeśli kiedyś moje imię wspomną na niemiec-
[kiej ziemi,
Gdy paniczyk cię zapyta: pani znasz go mię-
[dzy swymi?
Powiedz wtedy dumne słowa, powiedz mu
[bez trwogi je:
„Że poetą, bohaterem — wszystko to za-
[wdzięcza mnie!“

Powiedz baśń mu ową piękną, jeśli panicz
[ją zrozumi,
O tym duchu wiecznych tęsknot, co nad
[kręgiem świata szumi,
Który serce wraz rozpala i do działań
[wielkich krew,
A do czasów fali rzuca pięknych życia
[czynów siew!

Jeśli potem o twe imię, ty najdroższa, mnie
[zagadną,
Dam pigmejom tym odpowiedź jędrną, krew-
[ką i dosadną:
Wolność panią serca mego! — czemuż tak
[spuszczacie oczy,
Czy nie godne patrzeć w słońce, światła wy-
[drzeć z tych przeźroczy?

O wolności, pani serca! zabierz życie, byt
[mi dan,
Gdy cię błotem zbezczeszczono, obmyj się
[w krwi moich ran!
Jeśli padnę — o wolności! — ty mi zam-
[knij oczy, ty —
Zeszlej sny urocze, jasne, w cichym gro-
[bie ukój łzy!

Sonet bez tytułu (1837).

Tyś grała, grasz mi jeszcze; tony te, co brzmiały,
A w których się melodyi rozszumiało morze,
Te dusza w siebie chłonie, serce od nich gorze
I z serca przeto płynąć muszą me pochwały

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych

(Ciąg dalszy).

— Najdroższa, przecież ja tego oddawna pragnę... Tylko ty, niewiedzieć po co chciałaś utrzymania tej tajemnicy...

— Miałam moje racye. Ale teraz już najwyższy czas skończyć z tajemnicą. Już w jednym z krajowych dzienników napisano, że wracasz z żoną... czytałem to właśnie tutaj, w którejś kawiarni, bo tu są także i pisma polskie przez wzgląd na zgrywających się naszych rodaków... Wyobrażam sobie, jaki gwałt musiało zrobić ta wiadomość wśród twojej kochanej rodziny...

— Janko nie mów tak! Sprawiasz mi przykrość, odzywając się z przekąsem o mojej rodzinie...

— Nienawidzę tych ludzi — zawołała z wybuchem — nienawidzę ich, choć ich nie znam... Niedalej jak wczoraj dostałam pełen goryczy list od księżnej Berty Starosłupskiej wiesz, tej siostry hrabiny Arnim, baronowej Grünschild. List jest przesiąknięty, łzami i cierpieniem... Wspomina w nim Berta i o twoim stryju, który jej na każdym kroku robi afronty...

Książe Ludwik sposępniał na wzmiankę o swoim stryju, pochylił głową i nie odpowiedział ani słowa — Janina mówiła dalej:

— Czy nie przyjechałeś przypadkiem razem z Arnimami i Grünschildową. Wspominali mi, że poznali w podróży jakiegoś polskiego młodego arystokratę, który się lękał, aby nie dostać łóżka po samobójcy. Czy to nie ty byłeś?

— Tak, ja właśnie. Myślałem, że od nich dowiedziałaś się gdzie mieszkam.

— O nie! oni nie powinni się nawet domyślać, że się znamy. Ja poleciłem w biurze informacyjnem, aby mi natychmiast dano znać, skoro przybędziesz. Wiadomość otrzymałam właśnie w chwili, kiedy mówili mi o spotkaniu z Polakiem...

— Więc dalej chcesz abyśmy udawali, że jesteśmy dla siebie obcy? Mnie poprostu dusi już ten przymus...

— Jeszcze tylko kilkanaście dni... Potem będziemy należeć do siebie na zawsze... Widzisz, ja ci już tłomaczyłam powody dla których nie chciałam, aby świat wiedział o naszym związku. Warunki, w których poznaliśmy się w Wiedniu były dla mnie jak wiesz, nad wszelki wyraz nieprzyjemne. Mówiłam ci już, że jestem dziecięciem nieślubnem, i że nawet nie wiem, kto jest moim ojcem. Człowiek, którego poznałeś jako mojego ojca, ów Müller — adoptował mnie, jak się zdaje dla interesu, ale nigdy nie chciał mi zdradzić tajemnicy mojego pochodzenia. Wiesz, że nagle nieznajomy jakiś człowiek wręczył mi na ulicy tekę, w której znalazłam znaczną sumę pieniężną; był to niewątpliwie dar od tego, kto mi dał życie.

Było to właśnie wtedy, kiedy, sama nie wiem jak, zostałam twoją, owego pełnego szału wieczoru. Chciałam abyśmy uciekali w świat daleko za góry i morza, chciałam się pozbyć wstrętnej opieki obcego mi człowieka; ofiarowałam mu połowę otrzymanej sumy i rozstałam się z nim na zawsze. Poźniej postąpiłeś tak szlachetnie, że dałeś mi swoje nazwisko; ale nie było świadków tego ślubu; nie było nikomu wiadomo, gdzie i jak poznaliśmy się. Mogłam uchodzić w oczach ludzi za awanturnicę, która cię podstępem zdobyła. Ja tego nie chcę. Dlatego wybrałam Monte-Carlo na miejsce naszego publicznego poznania się; jest tu kilka osób z polskiej arystokracyi lub pseudoarystokracyi; uprosiłam umyślnie obie moje przyjaciółki, które mniemają, że wyszłam jeszcze w Wiedniu za mąż za margrabiego Manzaneres, i że z nim wyjechałam do Ameryki; tak im w pierwszej chwili doniosłam, nie chcąc wymieniać swojego nazwiska. Obecnie wyprawiłam owego margrabiego Manzanares na tamten świat i jestem wdową... Ty mnie tutaj poznasz, zakochasz się, oświadczysz się o moją rękę — i zostanę księżną Czarotyńską w sposób tak prawidłowy, że najbardziej wymagające kwoki z twoich sfer nie będą mogły nic mi zarzucić...

— Po co ta cała tkanina kłamstw... Ty wiesz, że ja tak nie lubię kłamać!...

— Jeszcze tylko nie długo najdroższy... Potem będziemy już szli ścieżką geometrycznie prostą ku pięknemu celowi twego życia...

. . . .

W jakiś czas potem, hrabia Arnim Besthoff sam przedstawiał pięknej margrabinie Manzanares księcia Ludwika Czarotyńskiego, którego przypadkiem poznał w wagonie kolei żelaznej, jadąc do Monte-Carlo.

Książe rozpoczął formalne konkury o swoją żonę. Co rano posyłał jej wspaniały bukiet kwiatów, co wieczór do późnej nocnej godziny towarzyszył jej na samotnych w góry spacerach...

Wreszcie jednego dnia margrabina zawiadomiła swoich przyjaciół, że polski książę wyznał jej swoją miłość i prosił o jej rękę i że ona czując, iż odpłaca mu wzajemnością, nie wahała się na błagania jego odpowiedzieć przychylnie...

. . . .

Pobyt w Monte-Carlo trwał przeszło miesiąc. Czarotyński zbliżył się przez ten czas do obu sióstr z domu Bukszpan, które żyły w przyjaźni z jego żoną. Stosunek z Arnimem był zawsze chłodny; instynktowna jakaś niechęć odpychała ich wzajemnie.

Za to pomiędzy księciem Ludwikiem a piękną hrabiną Sarą wywiązała się pewna serdeczna zażyłość. Sara miała żywy i swobodny temperamenti pełną uroku trzpiotowatość, przerywaną tylko chwilami przez krótkotrwałe smętne zadumy. Była przeciwstawieniem natury baronowej Malwiny Grünschild, chłodnej, sztywnej, dbającej starannie o to, aby nawet półuśmiech nie skrzywił klasycznie pięknych rysów jej twarzy.

Książe Ludwik do tego stopnia polubił hrabinę Sarę, że pragnął ją wtajemniczyć w istotny stan rzeczy. Gdy się z tem zwierzył przed Janiną, wpadła w gniew tak niezwykły, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Jeżeli słowem mnie zdradzisz, wyjeżdżam stąd i nie zobaczysz mnie więcej — wołała w uniesieniu.

Słowa te wstrząsnęły sercem Czarotyńskiego. Dotychczas ani mu przez głowę nie przeszło wątpić o miłości Janiny. Dopiero teraz po raz pierwszy w myśli postawił sobie pytanie: Czy ona mnie kocha? Czy ona mnie może kochać naprawdę, jeżeli tak łatwo byłaby gotowa mnie porzucić dlatego, że ośmielam się myśleć o zepsuciu jej dziecinnej intrygi wylęgłej w fantastycznej główce? I to wobec kogo, wobec przyjaciółki, przed którą prawie niema tajemnic? A nuż jest jakiś powód do tych tajemnic, którego ja nie znam a na którym jej więcej zależy niż na mnie? Pytania te pozostały naturalnie bez odpowiedzi, ale pozostawiły w sercu Czarotyńskiego gorycz i niepokój.

Powód dla którego Janina uznała za stosowne grać komedyę przez swymi najbliższymi nie był tak łatwy do odgadnięcia nawet dla kogoś, kto znał znacznie lepiej przeszłość tej kobiety, niż książę Czarotyński. (C. d. n.)

Jak zefir, kwiatu listek gdy całuje biały,
I życia nad nim budzi purpurowe zorze,
Tak grałaś; żaden piersi nam już ból nie porze,
Tęsknice łzawe z pieśnią twoją uleciały.

Do duszy śpiew i słodki mówił wyraz twarzy;
Anielską bowiem przy nich przybierałaś postać,
Więc gdyby ton nie został — ona musi zostać.

Jak o zjawisku nieba duch o tobie marzy,
Bo jakby w śnie czarownym wszędzie wi-
[dzę ciebie,
I pieśni twoje grają — jak sfery na niebie.

Powyższe dwa wiersze z oryginału niemieckiego, ogłoszonego po raz pierwszy w „Preszernowym albumie“, przetłomaczył

Michał Magiera.

Odwiedziny
w klasztorze św. Bernarda.

(Ze wspomnień podróżnika).

Zamiarem moim było dostać się z Chatillon przez Val Tournanche i Matterjoch do lodowców Monte Rosa, lecz olbrzymie masy śniegu nagromadzone skutkiem silnych zawiei, uniemożliwiły zupełnie drogę przez Matterhorn. W obec tego postanowiłem wrócić przez górę św. Bernarda w dolinę Rodanu. Pewnego niedzielnego ranka wyruszyłem przy ślicznej pogodzie z Aosty, przeszedłem wspaniałe ogrody, lśniące całym przepychem południowej wegetacyi i udałem się przez winnice w górę, wzdłuż Buttier. Buttier wpada koło Aosty do rzeczki Dora Baltea i wgryzł się głęboko w skały. Dobrze utrzymana droga, niestety, bez śladu cienia wznosi regularnie w górę aż do St. Remy, najwyżej położonej wioski w dolinie św. Bernarda, gdzie zatrzymałem się na obiad. Aż do tego miejsca, tj. do wysokości 1600 m. grunta są uprawiane. Przy table d'hote w jedynym tutejszym hotelu znalazło się prócz mnie tylko dwóch włoskich urzędników cłowych, którzy są tam stacyonowani. Fakt powyższy jest jaskrawem świadectwem obfitego napływu turystów w okolice St. Remy.

Odtąd miejsce gościńca zajmuje zwykła drożyna, która wiedzie z początku przez las a potem przez zielone łąki hen—do góry. Zdala brzmią dzwony kościelne wzywając na nabożeństwo a poważny ich ton miesza się melodyjnie z dźwiękiem dzwoneczków wiszących u szyi krów, co pasą się na tzw. „Vacherie“. Powoli jednak charakter otaczającej mnie przyrody zaczyna się zmieniać, poważnieć, wegetacya zmiejsza się, aby nakoniec zniknąć całkowicie. Dokoła ukazują się nagie skały o dziwacznym kształcie, ze szczytem pogrążonym w tumanach mgły, wiatr popycha od czasu do czasu taką chmurę w kręty labirynt skalny, a samotny wędrowiec, ujęty w wilgotne jej ramiona musi przystanąć i czekać, aż się mgła rozejdzie. Inaczej naraża się na zbłądzenie w tej bezludnej pustyni, lub co gorsza, na śmierć, czyhającą nań w przepaściach po obu stronach drogi.

Co za kontrasty! Przed kilku godzinami znajdowałem się pod błękitnem niebem Italii, wciągając do płuc łagodny wietrzyk, podziwiałem jej soczyste zielone niwy; teraz staję samotny pośród rozpaczliwie smutnych skalnych zrębów, otoczony morzem mgły. W dodatku śnieg zaczyna padać na dobre, utrudniając mi oryentacyę.

Naraz we mgle majaczy jakiś kształt, poruszający się na wszystkie strony i idzie prosto na mnie. Z początku tuman śniegowy nie dozwala mi rozróżnić natury tego kształtu, aż wreszcie spostrzegłem, że to ogromny pies. W tejże chwili olbrzymie zwierzę zaczyna wyprawiać koło mnie jak najpocieszniejsze skoki, machając na znak radości puszystym ogonem. Wkrótce pokazuje się i pachołek klasztorny, wysłany razem z psem na poszukiwania za podróżnymi. Dowiaduję się od niego, że za parę chwil będę już na szczycie. Idziemy razem w górę; a za chwilę silniejszy powiew wiatru zwiastuje mi, że wydostałem się ze skalnej kotliny, a z za mglistych opon śnieżnego tumanu wynurzają się mury klasztorne. Widząc się tak bliskim celu, podziękowałem uprzejmie pachołkowi, który począł ze swoim kudłatym towarzyszem zstępować napowrót w tonie mglistego oceanu, podczas gdy moja osoba udała się drogą prowadzącą koło jeziora do głównego klasztornego budynku.

Jest to szara, olbrzymia skrzynia, której wygląd nie ma w sobie nic romantycznego, lecz wspaniałości, rozsiane w okół przez hojną przyrodę, odwracają myśli i oko od jej zewnętrznej szaty. Pociągam za drążek od dzwonka i ostry przenikliwy ton budzi echa, śpiące w załomach szarych murów. Umyślnie zawieszono tutaj dzwonek o tak donośnem brzmieniu, gdyż musi on nieraz przebić się przez ryk burzy, grzmiącej na wierzchołkach tych olbrzymów skalnych. Po krótkiej chwili oczekiwania ukazuje się zakonnik, witając mnie przyjaźnie i prosi, abym wszedł do środka. Nie pytają mnie o nazwisko ani zatrudnienie, nikogo nie obchodzi skąd i dokąd idę; jedynem zapytaniem, na które musiałem dać odpowiedź, było, czy zgodzę się na zamieszkanie wespół z dwoma młodymi Włochami. Wkrótce zapoznałem się z nimi a zakonnik poprosiwszy bym się rozgościł a potem zeszedł do pokoju dla obcych, wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Toaleta nie zabrała mi zbyt wiele czasu i po niedługiej chwili znalazłem się wraz z obu nowymi znajomymi w jadalni. Urządzenie tego pokoju jest bardzo przyzwoite: na ścianach wiszą obrazy a piękny fortepian i harmonium służą ku przyjemnej rozrywce. Te wszystkie przedmioty zbytku pochodzą od bogatych podróżnych którzy w ten sposób wywdzięczyli się za gościnne przyjęcie.

W obec krótkiego czasu jaki miałem przepędzić w schronisku, zabrałem się zaraz do oglądnięcia wszystkiego, co jest tam godne widzenia. Pod przewodnictwem jednego z ojców zakonników udaliśmy się do biblioteki i zbioru starożytności, pochodzących jeszcze z rzymskich czasów. Znajdowano je na górze św. Bernarda gdzie stała niegdyś świątynia Jowisza zwanego Jupiter optimus maximus Poeninus. Interesujące są zwłaszcza kawałki tablic, które rzymscy podróżnicy ofiarowywali Jowiszowi w podzięce za szczęśliwe wyratowanie ich z niebezpieczeństw górskiego świata. Biblioteka składa się z całego szeregu niewielkich pokoików; w każdym w nich ściany są obstawione masą półek z książkami. Jest tam między innymi wiele bogato oprawnych rękopismów. W czasie długich dni zimy, która na 8 miesięcy w roku odcina schronisko od reszty świata i znajdują tutaj zakonnicy obfity pokarm duchowy.

Na oglądaniu książek i wykopalisk schodził nam czas tak szybko, że nie zdołaliśmy się obejrzeć jak wybiło $^1/_2$ do 7-ej. Dzwonek zawezwał mieszkańców klasztoru do wspólnego stołu, przy których zasiedli nieliczni goście wraz z mnichami. Jeden z ojców zakonu zasiadł na pierwszem miejscu, prosząc, aby wędrowcy zechcieli skosztować skromnej wieczerzy. Jedzenie było bardzo dobre. Ryż ze śliwkami, pieczeń wołowa i ser klasztornego wyrobu składały się na menu; za napój służyło lekkie stołowe wino.

Po kolacyi udaliśmy się do psiarni, mieszczącej w sobie słynne na cały świat psy z góry św. Bernarda. Niewielu wiadomo, iż właściwa rasa „bernhardinów“ wyginęła ze szczętem, a miejsce jej zajęła neufaudlandzka, która w niczem podobno nie ustępuje pierwszej.

Pośród zwierząt które tam widziałem, znajdują się niektóre z tak mądrym wyrazem oczu, że trudno doprawdy nie przyznać im nadzwyczajnej inteligencyi; zdawałoby się, że znają całą ważność spoczywającego na nich zadania i emulują ze sobą, spełniając na wyścigi swoją powinność. Bohaterskie czyny niektórych zostały uwiecznione w słowie i obrazie.

Niedaleko od psiarni stoi niewielki domek, podobny z kształtu do trumny, z oknami, w których zamiast szyb umieszczono kraty. Jest to kostnica, służąca do przechowania zwłok podróżnych, zaskoczonych śmiercią pośród skał i wąwozów góry św. Bernarda. Ostre, mroźne powietrze nie dozwala na rozkład trupów, to też nie gnijąc wcale zmieniają się one w rodzaj zasuszonych mumij. Na dzień przed naszem przybyciem umieszczono w tym domku ciało jakiegoś biednego wędrowca, który zbłądziwszy w skalnym labiryncie, padł ze zmęczenia i zmarzł na śmierć, nim go zmyślne zwierzęta zdołały wytropić.

Klasztor św. Bernarda jest najwyżej położonem mieszkaniem ludzkiem w Europie, to też przeciętna temperatura roczna wynosi tam —1 stopień Celsiusza, a zima trwa jednym ciągiem 8 do 9 miesięcy! I dzisiaj wieczorem termometr wskazywał —3°, to też wróciliśmy do klasztoru nieco zmarznięci, a widok oglądany przed chwilą, nastroił nas dość poważnie. Aby rozpędzić smętne myśli, postanowiliśmy poświęcić resztę wieczoru na produkcye muzyczne, lecz niska temperatura sali zmusiła nas do szukania odpowiedniejszego miejsca pobytu i w końcu zawędrowaliśmy aż do kuchni, gdzie nasze grono obsiadłszy konim, rozpoczęło gawędę z bratem kanafarzem. Zaledwie jednak pogadanka weszła na gładką drogę, dał się słyszeć głos dzwonu, wzywającego ojców na modlitwę. W' kaplicy zastaliśmy zgromadzonych wszystkich *fratres* klasztoru, w liczbie 15. Poważne twarze i wygląd pełen godności, licują zupełnie z pełnem poświęcenia życiem, prowadzonem przez tych dzielnych a świątobliwych ludzi. Modlitwa i spełnianie obowiązków nałożonych przez czystą miłość bliźniego, oto dwa punkty, dokoła których obraca się monotonne, lecz zacne ich życie. To też każdy, kto choć raz doświadczył ich bezinteresownej a szczerej gościnności, musi unieść ze sobą szacunek dla tej odciętej od świata garstki zacnych, pełnych poświęcenia ludzi. W małej, lecz pięknie udekorowanej kapliczce są dwie pamiątki przejścia Napoleona przez Alpy: tablica ze stosownym napisem i pomnik, wystawiony przez wielkiego korsykanina jenerałowi Desaix, który zginął pod Marengo śmiercią walecznych.

Po nabożeństwie udaliśmy się do swego pokoiku, gdzie czekały na nas wygodne łóżka z niesłychaną masą spiętrzonej pościeli. Chcąc wydrapać się na te istne wieże z poduszek, kołder i materaców, musieliśmy uciekać się do pomocy gimnastyki, lecz trudy ponoszone przy zajmowaniu miejsca zostały stokrotnie wynagrodzone miękkością i ciepłem posłania.

Usnęliśmy, kołysani szumem wichru hulajacego po stokach góry, a ranny świt zastał nas już nogach. Złożywszy gościnnym zakonnikom jak najserdeczniejsze podziękowanie, opuściliśmy progi klasztoru udając się gościńcem do Martigny i wkrótce straciliśmy z oczu szare mury schroniska.

H.

Z podróży prezydenta Krügera.



Sztandary francuskie chylą się przed Krügerem.

Miła przejażdżka.

Z angielskiego.

Pewnego jesiennego wieczora wyjechałem nocnym pociągiem z Enston do Liwerpola, chcąc tam wsiąść na statek, gdyż byłem zaproszony na wesele w Belfast.

W przedziale drugiej klasy, dla palących, jechało oprócz mnie, dwóch jeszcze pasażerów, którzy zajęli oba rogi przeciwległego siedzenia. Rozgościwszy się jak mogłem najlepiej, zapaliłem cygaro i sięgnąłem w zanadrze po dziennik. Zanim jednakże począłem go studyować, przypatrzyłem się dokładnie obu współtowarzyszom podróży, gdyż lubię w drodze skracać sobie czas rozmową; niestety obaj panowie nie zdradzali zupełnie chęci spostrzeżenia mojej osoby, która zdawała się dla nich poprostu nie istnieć.

Jechaliśmy tak może z pół godziny, gdy nagle uczułem, że ktoś dotyka mojej nogi swoją; podniosłszy oczy napotkałem przenikliwy wzrok mojego vis-à-vis.

— Przepraszam pana — rzekł mój towarzysz z dziwnym uśmiechem. — Czy nie zechciałbyś pomieniać się ze mną na gazety? Jak widzę, skończyłeś już czytanie swojej.

— Bardzo proszę — odparłem, nieco zdziwiony.

W czasie zamiany dzienników znów potrącił mnie nogą, jakby dla ostrzeżenia. I — proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy, otworzywszy gazetę, spostrzegłem na brzegu następujące słowa, skreślone ołówkiem:

„Zachowaj się pan spokojnie. Jestem agentem tajnej policyi. Naszym towarzyszem jest Burnside, o którym musiałeś zapewne słyszeć. W Liwerpoolu czeka na mnie pisemny rozkaz aresztowania go. Muszę zatem starać się o to, by nie uciekł gdzie po drodze i przed naszem przybyciem tam uczynić go nieszkodliwym. W razie potrzeby liczę na pańską pomoc. W Staffordzie przyjdź pan do bufetu“.

Naturalnie wiedziałem kto to był Burnside, sekretarz lorda A., który umknął z brylantami jego żony. Mówiono o nim podówczas bardzo wiele.

Przeczytałem ten dziwny list jeszcze raz i dopiero potem pozwoliłem sobie rzucić okiem na złoczyńcę, który siedział zatopiony w swojem cygarze, nie przeczuwając widać niebezpieczeństwa. Od tygodnia policya tropiła go nadaremnie. Nawet trzymany przezemnie dziennik zawierał notatkę o jego czcigodnej osobie, podkreśloną ołówkiem przez detektywa.

W Stafford pociąg zatrzymuje się przez pięć minut. Rzecz naturalna, iż byłem nieco poruszony. Zaledwie przybyliśmy na miejsce schowałem gazetę i pobiegłem do bufetu, gdzie za chwilę ukazał się i detektyw z najniewinniejszą w świecie miną.

— Nie oglądaj się pan — szepnął, przystając do mnie. — Stoi tam koło bufetu. Jeżeli zwącha o co idzie, gotów się ulotnić. Jak się zdaje, w Crewe ktoś



Według obrazu Ottona Goldmanna.

NA SPOCZYNEK.

czeka na niego, gdyż z Enston telegrafował tam i wyraźnie słyszałem jak urzędnik przyjmujący depeszę, prosił go o dokładne podanie jakiejś liczby. Była to cyfra 2964.

— Przecież to numer naszego wagonu — rzekłem.

— Tak jest. Depesza zawierała zatem, jak się zdaje, wezwanie do kogoś, aby wsiadł w Crewe do zajmowanego przez nas coupé. W razie gdyby przyszło do tego, miałbym z tą sympatyczną parką dużo do roboty...

— I cóż pan zamierzasz począć?

— Natychmiast po odjeździe stąd chcę go schwytać, związać i wsadzić pod siedzenie, tak, że drugi ptaszek, nie znalazłszy w Crewe swego kolegi i myśląc, że przeszedł do innego oddziału zacznie przeszukiwać cały pociąg. Za przybyciem do Liverpoolu oddam naszego aresztanta w ręce tamtejszej policyi, sam zaś udam się śladami drugiego uciekiniera, gdyż niewiem, przy którym z nich są brylanty, a o znalezienie ich najbardziej mi teraz chodzi.

tarł sobie zlekka usta chusteczką. Potem wstał, udając, że szuka czegoś na półce z rzeczami i nagle, rzuciwszy się jednym skokiem na Burnside'a, przygniótł go kolanem do kąta.

— Prędko! Przytrzymaj mu pan ręce! — krzyknął.

Przyskoczyłem szybko i schwytałem zbrodniarza za ręce w tej samej chwili, kiedy chciał sięgnąć do kieszeni, detektyw zarzucił mu tymczasem na twarz chusteczkę, z której wydobywał się mocny, słodkawy zapach. Jakiś czas bronił się rozpaczliwie, lecz po chwili, jak się zdawało, stracił przytomność.

All right! — rzekł detektyw. — Ciężka to była praca. Uffff! Dalej, otwórz pan okno, bo inaczej chloroform nas odurzy.

Pospieszyłem spełnić jego polecenie, czując że w głowie zaczyna mi się kręcić. Tymczasem agent związał nieprzytomnemu Burnsideowi ręce i nogi.

— Tak, tak! A teraz dopomóż mi pan wsadzić tego rzezimieszka pod siedzenie.

Z trudnością udźwignęliśmy potężny go przedziału tabliczkę z napisem: „Zajęte". Ten brodacz jest nam tutaj zupełnie zbyteczny.

Powiedziawszy to, wysiadł z wagonu zamykając drzwi za sobą.

Z pod ławki dochodziło ciężkie oddychanie rabusia, któremu widocznie wracała przytomność. Muszę wyznać, iż nie było mi zbyt przyjemnie, gdy brodacz przechodząc koło wagonu rzucił na mnie bystre spojrzenie.

Naraz ukazał się konduktor i przymocował na oknie naszego przedziału tabliczkę z napisem: „Zajęte".

To mi nieco ulżyło. Wysiadłem na peron, zamknąłem drzwi za sobą i zostałem na dworze, aż do nadejścia mego towarzysza.

— Wszystko w porządku — rzekł on — właśnie posłałem do Liverpoolu depeszę z dalszemi instrukcyami. Może się pan czego napije? Obecnie mogę już pana zluzować na straży przy naszym więźniu.

Byłem nieco zziębnięty, więc kazałem w bufecie dać sobie kieliszek wina z korzeniami. Zaledwie jednak podniosłem

— Toś ty, Burt? — wykrzyknął zapytany, wracając zwolna do przytomności. — Czy te przeklęte łotry dały nura?

— Jeden nam został, niestety, nie ten, o którego głównie chodzi.

— To już dobrze — odpowiedział Burnside, spoglądając na mnie złowrogo. — Jakżeż umknął tamten drugi?

— Stosownie do wezwania, czekałem na ciebie w Crewe i poznałem odrazu naszego ptaszka. Dziwiło mnie wprawdzie twoje zniknięcie, myślałem jednak, że gdy będzie potrzeba, to się ukażesz. To też, gdy ten łotr wyszedł z wagonu, udałem się za nim i zobaczyłem, iż kupił bilet do Glasgowa; widocznie musiało coś niedobrze się powieść. Potem pospieszył do wagonu, z którego wyskoczył za chwilę ten oto nasz młody przyjaciel. Uważając go za zwykłego pasażera, nie zwracałem nań wcale uwagi, natomiast pilnie obserwowałem naszego właściwego klienta, który spacerował sobie tam i napowrót po peronie. Gdy jednak po dobrej chwili nie było ciebie widać, pomyślałem sobie odrazu, że musiało ci się coś przydarzyć.



Ślub murzyński w Afryce.

— A cóż będzie, jeśli po drodze wsiędą inni pasażerowie do naszego przedziału?

— To niemożliwe. Wydałem już konduktorowi stosowne instrukcye. W razie potrzeby pomożesz mi pan, nieprawda?

— Ależ naturalnie — odpowiedziałem, gdyż ta cała historya wielce przypadła mi do gustu.

Pociąg miał właśnie ruszyć, kiedy Burnside, wytknąwszy głowę przez okno, krzyknął: — Hej, konduktor, o której będziemy w Crewe?

— O 8 45!

— Ślicznie.

Obaj z detektywem spojrzeliśmy znacząco po sobie, a Burnside wrócił spokojnie na dawne miejsce.

Serce biło mi trochę, gdy sobie przypomniałem oczekującą nas walkę.

Burnside był tęgim i muskularnym człowiekiem a detektyw, aczkolwiek również sprawiał wrażenie silnego, nie dorównywał mu wszakże budową ciała. Z każdym razie zanosiło się na zaciętą walkę.

Gdyśmy przejechali trzecią stacyę za Staffordem detektyw odłożył dziennik i objego korpus, wsuwając go pod poduszkę.

— Dla bezpieczeństwa przykryjemy go jeszcze pledem! Wybornie! Teraz niech sobie szanowny jego koleżka wizytuje nasz przedział!

— Ależ on pocznie hałasować, przyszedłszy do siebie!

— Bądź pan spokojny, przewidziałem to. Przed samem przybyciem do Crewe zaknebluję łajdaka. Swoją drogą, w sam czas złapałeś go pan za ręce. Czy nie zechcesz wyjaśnić mi swego nazwiska, abym mógł wspomnieć o panu, gdzie będzie należało? Lord A. nie omieszka zapewne wywdzięczyć się panu jakąś gratyfikacyą...

Z dumą przedstawiłem się agentowi. Obecnie, gdy punkt kulminacyjny afery należał do przeszłości, postanowiłem w spokoju śledzić za dalszym rozwojem tej ciekawej historyi.

Gdy pociąg zatrzymał się w Crewe, spostrzegłem na peronie jakiegoś tęgiego pana z czarną brodą, który oglądał, jak się zdawało, numery wagonów.

— To on! — rzekł mój towarzysz podróży. — Natychmiast poproszę konduktora, aby zawiesił na drzwiach naszenapój do ust, odezwał się sygnał i na łeb na szyję musiałem pędzić do wagonu. Dopadłem go jeszcze na czas, wskoczyłem, i konduktor zatrzasnął za mną drzwi w chwili, kiedy pociąg już ruszał z miejsca.

Któż zdoła opisać przestrach, jaki mną owładnął, gdy w rogu wagonu ujrzałem w miejsce detektywa olbrzymią postać czarnobrodego, który trzymał rewolwer, zwrócony lufą ku mojej piersi!

— Skończona gra, kochaneczku — obwieścił potężnym basem.

Byłem zatem w rękach zbrodniarza! Na samą myśl o tem, co mnie czeka, upadłem bezsilnie na poduszki siedzenia.

— Jeszcze za mało sprytny łajdak z ciebie — ciągnął dalej brodacz. — Przedewszystkiem wyciągnij mojego przyjaciela z pod ławki i rozwiąż go natychmiast. Słyszysz?

Zgnębiony i osłupiały, czując, że jestem zdany na łaskę i niełaskę tych łotrów, usłuchałem natychmiast rozkazu. Za chwilę Burnside siedział już na ławce, pocierając sobie czoło.

— Jakżeż ci teraz, Parker? — zapytał brodacz, nie odwracając lufy rewolweru od mojej osoby.

Naraz zadzwoniono i mój ptaszek wpadł do przedziału, zatrzaskując drzwi za sobą. Wyczekałem jeszcze chwilę i gdy odezwał się sygnał odjazdu, wskoczyłem śmiało za nim.

Lecz przedział był pusty, ten łajdak znikł jak kamfora.

— Uciekł drugimi drzwiami?

— Tak jest. Niestety, zapóźno już było na pościg, a zresztą w tej samej chwili wyśledziłem ciebie, skulonego pod ławką, równocześnie zaś przybył nam do towarzystwa ten oto ptaszek, wpadając nakształt niewinnego baranka w moje srogie objęcia.

Słuchając tego, zacząłem przychodzić do przekonania, że zachodzi tutaj jakaś omyłka i że sytuacya moja staje się bardziej nieprzyjemną niż zrazu można było sądzić... Robiło mi się naprzemian gorąco i zimno.

— Moi panowie — wyjąkałem — padliśmy wszyscy jak się zdaje ofiarą mistyfikacyi...

— Ależ naturalnie — odezwał się szyderczo Burt — jestem tegosamego zdania. Lecz wkrótce wszystko się wyjaśni. Jak się nazywasz?

Wymieniłem swoje nazwisko oświadczając, że jestem urzędnikiem bankowym i urządziłem sobie przejażdżkę do Belfast.

— Przestań no ćmić, braciszku i gadaj szczerą prawdę, bo szkoda czasu! Możebyś lepiej zechciał nas objaśnić, gdzieś schował swoją zdobycz? Co?

— Zdobycz? Jaką zdobycz ....? Ależ zapewniam panów, że nic z tego nie rozumiem...

— Ale chloroformować umiesz, drabie jeden — burknął towarzysz brodacza.

— Przecież to detektyw, nie ja — zaprotestowałem energicznie.

— Kto?...

— Nasz ex-towarzysz podróży, detektyw!

— Posłuchajno, kochaneczku! Musisz być albo wytrawnym oszustem, albo też wielkim bałwanem! Czyż doprawdy nie wiesz, iż my obaj jesteśmy detektywami, a nasz drogocenny przyjaciel, któremu dopomogłeś do ucieczki, to Burnside?

— Burnside? — powtórzyłem machinalnie, podczas gdy przed oczyma mej duszy przesunął się miły kalejdoskop cel więziennych, sal sądowych i t. p. Chryste Panie! Jakżeż mogłem dać się tak oszukać?

— Tak jest, i odpowiesz nam za to! Daremnie próbowałem rzecz wyjaśnić; nikt mnie nie słuchał. Nagle przypomniałem sobie o gazecie, która znajdowała się jeszcze w mojej kieszeni.

— Spojrzyjcie, panowie — rzekłem — jeżeli mi nie chcecie wierzyć, to weźcie przynajmniej to do ręki.

Obaj przeczytali notatki porobione ołówkiem przez fałszywego detektywa z wzrastającem zaciekawieniem.

— Jeżeli to co pan mówisz jest prawdą — rzekł Burt, to udowodnij nam iż nazywasz się tak a tak. Czy masz pan przy sobie jakie legitymacye? Otwórz pan swój kufer!

Sięgnąłem na półkę, lecz zdziwiony odskoczyłem w tył.

— Ależ to nie mój kufer, tylko detektywa — te, co ja gadam, Burnside'a!

Obaj agenci zerwali się jak pod wpływem prądu elektrycznego i oderwawszy zamek u walizy, wydobyli z jej przepaścistych głębin płaskie etui, oprawne w safian. Burt pocisnął sprężynę i wspaniałe dyamenty olśniły nasz wzrok swym blaskiem.

— To naszyjnik lady A. — wrzasnął Parker. Co za szczęście! ten łajdak umknął z cudzym kuferkiem!

I tak było w rzeczywistości. Burnside, barykadując zachloroformowanego agenta przy pomocy walizy, omylił się i w pośpiechu wziął mój kufer zamiast swojego. Swoją drogą były oba do siebie podobne.

Równocześnie znalazłem w torebce podróżnej swoją legitymacyę urzędniczą i pokazałem ją detektywom. Obaj śmiali się przez jaki kwadrans z całego zajścia, ja wszakże długo nie mogłem się uspokoić. Dopiero parę kieliszków whisky, spełnionych na najbliższej stacyi za tak szczęśliwe odkrycie skradzionych brylantów, przepłoszyło resztki strachu i wzruszenia.

Taką to miałem przejażdżkę.

Z wojny w Afryce południowej.



Chrystyan De Wet, generał armii boerskiej.

Michał Dymitrowicz Gorczakow.

(Ciąg dalszy.)

W ten sposób książę Gorczaków został szefem sztabu czynnej armii przy feldmarszałku. Ta ciężka, 21-letnia służba, wycisnęła piętno jeszcze większej nicości, zahukania i drobiazgowości na marnym i nieudolnym człowieku. Paskiewicz złamał w nim wszystko, co jeszcze na dnie duszy tliło własnego, żywotnego; zagasił w nim ostatnie iskry ducha. Inni, nie Gorczakowy, nie dopuściliby tego, drudzy zawczasu uciekli, lecz Gorczaków, z natury skłonny do ustępowania, dozwolił, ani się spostrzegając, że go przerabiano, wywracano na nice. — Zwolna, stopniowo, stał się innym człowiekiem, pozbawionym wszelkich właściwości człowieczeństwa. On nie dostrzegł, że od czasu zbliżenia się swego z Paskiewiczem, z tym *Torquemadą* najnowszych czasów, poddającym codziennie w oczach swego szefa sztabu różne osoby moralnym torturom i przyzwyczajającym go do widoku ciągłego poniewierania ludzkiej godności, jako do najzwyczajniejszych przejawów życia, nie odczuł, że do tej strasznej chwili przecież był jakimś innym człowiekiem, że wartością swoją wewnętrzną przedstawiał, bądź co bądź, jakąś dodatnią cyfrę, mającą sama przez się jakieś określone znaczenie. Lecz potem, po tej dwudziestoletniej tresurze, stał się najzupełniejszem zerem, które bez postawionej obok siebie jakiejś innej jednostki, absolutnie nic nie znaczyło.

Hrabia P. E. Kotzebue nieraz powtarzał autorowi, że książę Gorczaków, przed i po tresurze paskiewiczowskiej, były to dwie, zupełnie różne osobistości. Paskiewicz miał się podobno chwalić, „że złamał Gorczakowa“. Gdy się dowiedział, że w 1845 roku car Mikołaj, spotkawszy Gorczakowa w Palermo, gdzie podówczas bawiła cesarzowa, powiedział mu „że go zrobi pomocnikiem feldmarszałka“, zaczął żywo chodzić po gabinecie, mówiąc: „co mi to za pomocnik, to pionek, to zero! Ot co!“ i pokazał figę. „Jak wszyscy sztabowcy i on chciał się nabredyczyć, alem go złamał, i każdego złamię, i was złamię“, zakończył, zwracając się do Kotzebuego, który był podówczas jenerał-kwatermistrzem czynnej armii. — Gorczaków nie otrzymał tej nominacyi.

Nawet charakter pisma jego się zmienił i stał się tak nieczytelnym, że tylko czterech ludzi w Warszawie umiało dokładnie odcyfrowywać te istne hieroglify.

Tymczasem nadeszła starość i wszystko to skrzepło i skostniało na wieki.— Zdawałoby się, że takiego człowieka jużby należało pozostawić w spokoju i złożyć do archiwum; lecz nie, przeznaczenie kazało temu cieniowi człowieka, przez dłuższy czas jeszcze błąkać się po rosyjskich armiach i gmatwać rosyjskie sprawy. W Rosyi wystarcza dojść do wyższego stanowiska, zachowywać się spokojnie i mieć jaką taką protekcyę, a wtedy, czy kto zdatny, czy do niczego, posuwają go i posuwają, nadają majoraty i dzierżawy, a w końcu pochowają przy odgłosie trąb i głośnym płaczu gazeciarskim. Ba, nawet zrobią, jeśli nie zupełnym bohaterem, to przynajmniej bardzo walecznym jenerałem, nawet jenerał-feldmarszałkiem swoich czasów, ozdobią galeryę ermitażu portretem bohatera, malowanym przez jakiego Dov'a W Rosyi upadają tylko ludzie z talentem i charakterem, nie pozwalający na poniewieranie sobą wszelkiemu plugawstwu, znajdującemu się u góry, i czujący, że zachowanie swej ludzkiej godności droższe jest nad wszelkie ordery i możliwą służbową karyerę.

Paskiewicz umiał wynagradzać służących sobie, jak mówi przysłowie: „wiarą i prawdą“. Wytyrany przez niego, albo (literalnie) przyciśnięty kolanem do ściany pierwszy lepszy jenerał-major, wiedział doskonale, że po każdej silniejszej burzy, tem piękniejsza następuje pogoda i cisza w powietrzu. Na szlifach jenerał-majora mogła także zabłysnąć druga gwiazdeczka. On dobrze pojmował, że przedstawienie Paskiewicza, to nie zwykłe przedstawienie innych naczelników, po których w Petersburgu wcale bez ceremonii przechadza się złowrogi ołówek i często bardzo je kreśli. Ołówka, odważającego się zmienić przedstawienie „ojca komendanta“, w Petersburgu nie było, i gdy jenerał-major posłyszał, że go feldmarszałek przedstawił do awansu, to już śmiało jechał do magazynu zamówić sobie jenerał-porucznikowskie szlify.

C. d. n.

Wspomnienie wigilijne.

Losy zagnały mnie na Bałtyk. Kwater ę swoją chcąc nie chcąc musiałem założyć przy rodzinie niemieckiej, na szczęście katolickiej. Gospodarze moi, oboje w latach trzydziestych, byli zacni, a dla mnie choć Polaka bardzo życzliwi. Dzieci własnych nie mieli, za to pani domu przyjęła była na wychowanie z „Wollthätigkeitsvereinu“ dziesięciodniowego malca i wychowywała go z pieczołowitością rodzonej matki. Gdym go poznał, miał półtora roku, a na imię mu było Mulchen. Zapoznaliśmy się dzięki temu, że dostawał ząbki i dlatego płakał i krzyczał w niebogłosy. Żal mi było biedaka, więc znosiłem mu zabawki, aby go rozerwać i tak zawiązała się między nami przyjaźń. Gdy już nowy ząbek się wykluł, chłopak uspokoił się, a ja, mając skąpo czasu, zaniechałem wizyt. Ale Mulchen przywykł już był do mnie i był stalszym w przyjaźni; nieraz też bodaj na czworakach przesunął się przez dwa pokoje, które go dzieliły odemnie, gramolił się na starą sofkę, na której siedziałem i czym chciał czy nie chciał, wciągał mnie do swych figielków. Gdy czasem znowu rozkapryszony, odrywał ciągle matkę od codziennych zajęć, moja gospodyni sama przynosiła mi go do pokoju, a malec wnet się uspokajał i rozbawiał.

Nadszedł ostatni tydzień adwentu. Miałem wyjechać na święta w Poznańskie, aby zasiąść ze znajomymi u wigilijnego stołu, bo na miejscu uczty wigilijnej nie urządzano nawet w polskich domach, tymczasem plany się pokrzyżowały, wyjazd na święta przepadł. Zły byłem i smutny. Pozostać tak samotnym, zdala od rodziny, od serc życzliwych, wśród Niemców, na których codziennie tyle skarg wypisywałem! Nie, to okropne! Ale nie było rady.

Dzień wigilijny był dla mnie nieznośnym. Zabierałem się do pracy — nie szła; wychodziłem na miasto — ruch i zgiełk przedświąteczny irytował mnie; zwiedziłem w kościołach kilka żłóbków — wydały mi się za pospolite, coś z niemieckiej ociężałości znajdywałem w każdym szczególe dekoracyi. Obiadu, który przecież trzeba było spożyć, nie mogłem nawet skosztować, bom nigdy jeszcze „wigilii“ nie spędzał w restauracyi. Powróciłem do domu zły okropnie. Nawet gazety lub książki nie miałem ochoty wziąć do ręki, tak mię drażniła moja samotność.

Zmierzch już zapadł na dobre, gdy do pokoju weszła moja gospodyni. Odrzuciłem papierosa z nieukontentowaniem, bo po co ona tu przyszła, mogłaby przecież pozostawić mnie w spokoju.

Gospodyni pyta mnie jednak bardzo uprzejmie, czy wieczorem wyjdę z domu. Odpowiedziałem, że nie. A, to bardzo dobrze — odparła — bo mam pewną prośbę do pana.

Okazało się, że pani gosposia wybiera się niebawem wraz z mężem do rodziców i chce ażebym od czasu do czasu zobaczył, co Mulchen robi, bo go zabrać ze sobą nie chcieli, a służącej pilno było na jakiś „Tanzkränzchen“.

— A więc mam zostać mamką?

— Jeśli dobra wola. Ale Mulchen śpi, nie będzie pan miał z nim kłopotu. My około północy wrócimy.

— Niech i tak będzie. Życzę miłej zabawy.

Jako mamka, musiałem objąć w zarząd mleko, maszynkę spirytusową, jakieś bułeczki i grysiki oraz dać słowo honoru, że mi to nie sprawia żadnej subjekcyi i że się nie gniewam za obarczenie mnie takim obowiązkiem.

Żądane słowo dałem, ale byłem przejęty takim żalem do wszystkiego, którzy mogli się bawić w gronie rodziny, że nie wiele brakowało, a byłbym mojej gospodyni wyrecytował kazanie na temat obowiązku wychowawców i opiekunów.

Lecz stało się. Moi gospodarze poszli, a ja zostałem ze swą tęsknotą do rodziny, do przyjaciół, do opłatka wigilijnego. Pragnąłem spokoju sybaryty i byłbym go miał, gdyby nie Mulchen — wszak musiałem o nim od czasu do czasu pomyśleć.

Aby dobrze spełnić przyjęty obowiązek, wyjąłem śpiącego chłopaka z łóżeczka i zaniosłem do swego pokoju, potem i łóżeczko przyciągnąłem, złożyłem śpioszka znowu na posłaniu i już było mi jakoś swobodniej, weselej, gdym pomyślał, że ktoś mojej opieki potrzebuje. Rola moja zaczęła mnie nawet interesować. Przysłoniłem lampę abażurem, aby światło nie raziło dziecka, usiadłem obok łóżeczka, wsłuchiwałem się troskliwie w miarowy oddech malca, a jego uśmiechnięta pyzata buzia i we mnie obudziła jakieś zadowolenie.

W tem... ach!... co to będzie?

Mulchen obudził się, rozgląda się dokoła, a nie widząc w pokoju matki, jakby odrazu odgadł zdradę, rozpłakał się i akcentując po niemiecku woła: Mamaaa! Mamaaa!

Pochyliłem się ku niemu, zagadałem, ale on ignorował mnie całkowicie; usiadł na posłaniu, wodził niespokojnie oczyma po pokoju i nie wołał już, ale krzyczał swoje: mamaaa!

— Otóż i kolenda wigilijna — myślę sobie, ale do śmiechu mi nie było, bo chłopak był uparty i nieraz niepomny naszej przyjaźni, uderzył mnie z całej siły swą tłustą łapką, a co gorsza, drapał. Bywało tak, gdy mu czego odmówiono, a tu właśnie na jego życzenie, matka nie mogła się stawić.

Już miałem dla malca mleko, wyszukałem zabawki, obrazki, częstowałem go cukierkami, ale to wszystko nie na długo pomagało. Wziąłem go na ręce i począłem biegać z chłopakiem po pokoju, bo to była zwykle jego ulubiona rozrywka, lecz to go jeszcze więcej tym razem rozdrażniło.

Suszę sobie więc głowę, co począć, aż nareszcie błysnął mi świeży pomysł. Mówię mu zatem, że mamy nie ma, ale my do niej pójdziemy, trzeba się ubrać. Ubrałem go w istocie od stóp do głów, na drobne rączki nałożyłem mu jego biało-niebieskie rękawiczki włóczkowe, a Mulchen rozpogodził czoło i bił już w dłonie, rad, że pójdziemy na spacer.

Zostawiłem go w jego zachwycie, a sam wymknąłem się do przyległego pokoju, zapaliłem szybko świeczki na choince i co sił starczyło, począłem śpiewać kolędę. Chłopak choć jeszcze dobrze chodzić nie umiał, przykutalał się zaciekawiony do mnie. Chwilkę patrzył w milczeniu na płomień świeczek, słuchał śpiewu, aż wreście począł mi wtórować, wyciągając w rozmaitych skalach i tonach swoje „a“.

Jakiś czas trwał ten „duet“, aż ja, zatopiony w myślach o czem innem, niż o swem otoczeniu, ocknąłem się. Chłopak spoglądał na mnie jakby z wyrzutem, dlaczego dalej nie śpiewam, a ja zastanawiam się, co się właściwie ze mną dzieje. Więc to prawda, śmiali się ze mnie w rodzinnym kraju, nie w swoim domu, więc to nie dla mnie ta choinka i nie z rodzeństwem ja kolen-

duję? A ten chłopak? Przecież on wcale nie rozumiał ani tego święta, ani opiewanego w mojej ojczystej mowie Narodzenia Pana. Ach! to przykre, to bardzo przykre... ale czy chłopak temu winien? Nie!

Porwałem mojego współkolędnika na ręce i wycałowałem serdecznie jego rumiane buziaki. Wszak on stokroć biedniejszy odemnie, on nawet nie wie, kto są jego prawdziwi rodzice, a i przybrani opuścili maleństwo chociaż na godzin tylko parę. Kto wie, może on mnie nawet krwią bliższy aniżeli tym Niemcom, — może on z urodzenia Polak? A może to przyszły hakatysta słucha polskiej kolędy i do serca Polaka się tuli?...

Na formułowanie odpowiedzi lub na dalsze podobne refleksye zabrakło czasu, bo Mulchen właśnie silniej objął mnie rączkami za szyję i położył z ufnością główkę na mem ramieniu. Począłem znów śpiewać, ale już wolniej i ciszej, coraz ciszej, wreszcie patrzę na towarzysza mego wigilijnego wieczoru... Powieki były zamknięte...

Usnął. Rozebrałem go ostrożnie by się nie obudził, złożyłem w łóżeczku, krzyżyk na czole naznaczyłem i cisza zaległa urocza.

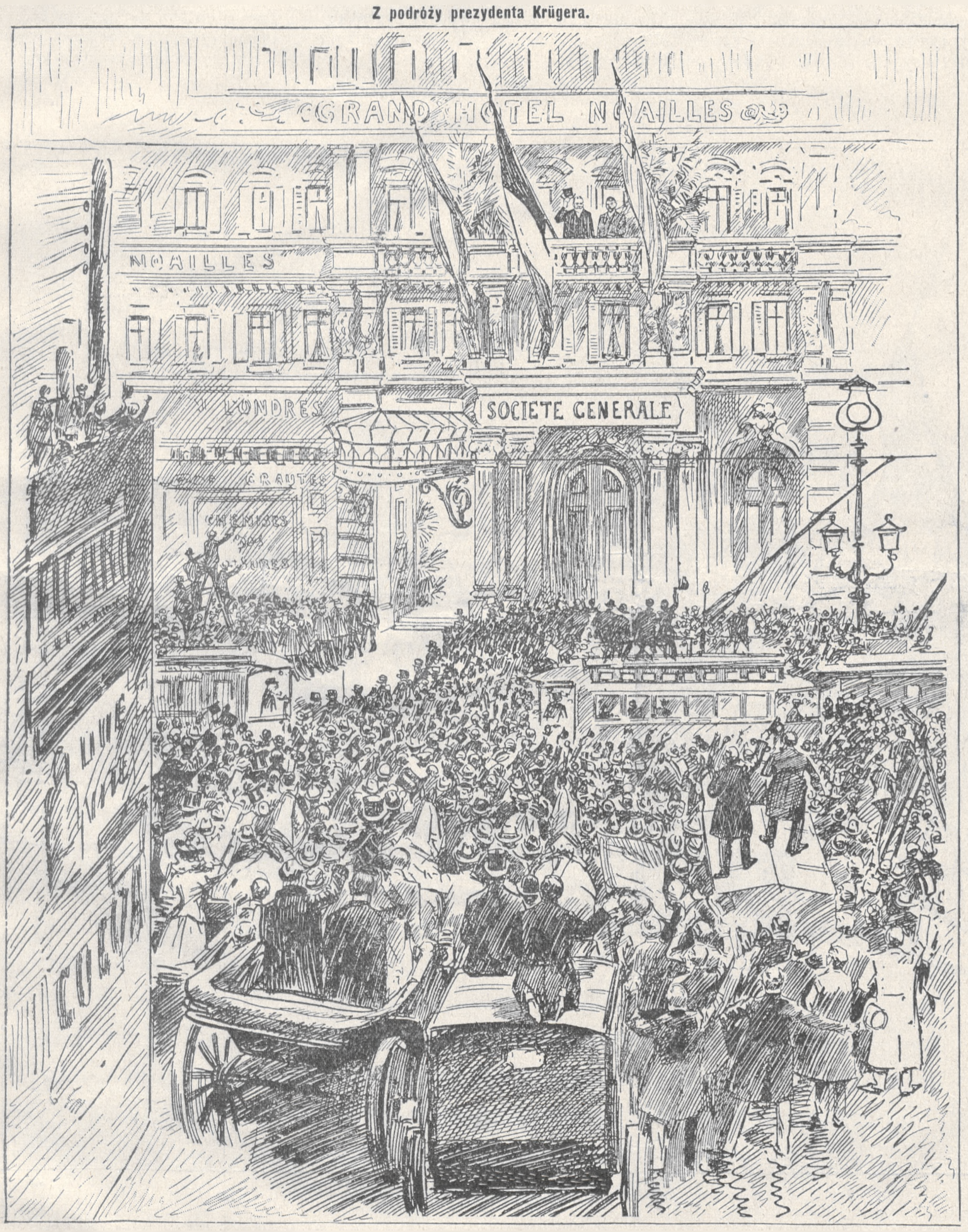
Cisza dokoła i cisza wewnętrzna. Widok błogo śpiącego dziecięcia, jego spokój — wynagrodziły mi prawie w zupełności mój własny smutek, moją tęsknotę do swoich,

Tak to nieraz w przykrej dobie zjawiają się pocieszyciele, choćby w postaci słabiuchnych niemowląt.

Już i świat cały szedł w rozsypkę, gdy na ratunek przyszło ludzkości Dzieciątko Jezus.

Wiktor Sedlaczek.

Z podróży prezydenta Krügera.



Krüger wjeżdża do Marsylii.

W kraju karłów i ludożerców.

Pod powyższym oto tytułem wyszła niedawno w Londynie ciekawa książka pióra misyonarza angielskiego A. B. Lloyda, który opisuje w niej podróż swą przez niezbadane jeszcze obszary Afryki środkowej. Wracając z Ugandy przez Kongo do wybrzeża oceanu Atlantyckiego, zwiedził także Lloyd siedziby pigmejczyków i licznych szczepów ludożerczych a pierwszą znajomość z pigmejczykami zawarł w głębi lasu. Czytał właśnie książkę, gdy naraz ujrzał w zaroślach wiele małych twarzy z oczyma w niego utkwionemi. Wyciągnął do nich rękę na znak powitania. Powoli i bardzo nieśmiało zbliżył się jeden ztych małych ludzi do niego i zdumiony wpatrywał się jakiś czas w jego oblicze, a potem ukrył twarz w dłoniach. Kilku innych także trochę się przybliżyło. Mogłem tedy — opowiada Lloyd — przypatrywać się z bliska przybyszom, a uderzył mnie naturalnie w pierwszym rzędzie mały ich wzrost. Ale mimo swej maleńkości — jak później stwierdziłem, wysokość ich wynosiła 4 stopy (140 cm) — byli tak silnie zbudowani, jak rzadko bywa u plemion afrykańskich. Piersi ich szerokie, mięśnie dobrze rozwinięte, szyja krótka a gruba, głowa na kształt małej kuli; dolna część ciała także nieniezwykle silna i krępa. Pierś ich porosła czarnym, kędzierzawym włosem, a prawie wszyscy mieli gęste czarne brody. W ręku nosili łuk i sajdak, lub krótką dzidę. Na ramionach mieli żelazne pierścienie, niektórzy także na szyi. Porozmawiałem z tym, który najbardziej zbliżył się do mnie, w języku Toro i zadziwiło mię jak sprytnie odpowiadał na moje pytania. Nie władał zbyt dobrze tym językiem i wtrącał raz po raz słowa, których nie znałem, ale przecież mówił na tyle dobrze, żem go zrozumiał. Był to, jak się okazało, wódz swego plemienia, długość jego kraju wynosiła 7 dni drogi, a szerokość 6. Pytałem go o liczbę jego ludu; na to wziął do rąk kawał drzewa, połamał go na drobne kawałki i rzekł że każdy kawałek oznacza zwierzchnika. Następnie wyliczał ile pigmejczyków należy do każdego zwierzchnika: niektórzy mieli 200, inni tylko 50, jeszcze inni 500. Pokazało się że ogólna liczba wynosiła jakie 10,000. Potem opowiedział mi ten królik pigmejski, że już poprzednio o mojem przybyciu wiedział, gdyż widywał mnie od kilku dni.

— Widziałeś mię? — rzekłem. — Kiedyż to?

—Już od sześciu dni widziałem cię w lesie.

— Ależ ja ciebie nie widziałem — odparłem.

Na to on serdecznie się uśmiał. Wreszcie dowiedziałem się, że liczna gromadka tych karlików śledziła z zarośli każdy nasz ruch, gdyśmy szli przez las.

Dlaczego nas nie zaczepili? W ostatnich kilku dniach byliśmy zupełnie w ich ręku, a zawsze przedstawiano ich jako plemię chytre i przebiegłe. Być może, że ochroniła nas nasza bezbronność, albowiem widzieli, że nie mieliśmy strzelb, jak inni ludzie biali. Ale nie zdaje mi się, ażeby byli to ludzie tacy zdradliwi, za jakich uchodzą, raczej przypuszczam, że podobnie, jak u większej części Afrykanów, nie ma się czego obawiać z ich strony, póki im się w drogę nie włazi. Ulubionem ich zajęciem jest polowanie na słonie za pomocą małych zatrutych strzał.

Równie dobre doświadczenia poczynił Lloyd z plemieniem ludożerczem Bangwa. Nazywa ich najjowialniejszymi murzynami, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia. Pełni byli figlów i doskonale przyjmowali jego żarty. Angielska harmonika ręczna, pies, aparat fotograficzny, lornetka, a przedewszystkiem rower wywołały w nich uczucia podziwu i niemałej trwogi.

Dyssonanse między muzykami.

Szerokiem echem rozebrzmiały po prasie galicyjskiej zajścia między dyrektorem orkiestry w teatrze lwowskim a podwładnymi mu muzykami, zajścia bądź co bądź nader smutne, i świadczące o niemałym rozstroju wewnętrznym lwowskiej świątyni muz i Apollina. Naszem zdaniem, sztuczne wydmuchiwanie takich czysto osobistych spraw, należących absolutnie ad forum internum teatru do jakichś niesłychanych rozmiarów, jest rzeczą niestosowną, to też zbywszy całą aferę pobieżną wzmianką, nie dotykalibyśmy jej więcej, gdyby nie okoliczność, że nadesłano nam ze Lwowa kilka uwag w tym względzie, które historyę lwowskich zamieszek w nieco odmiennem od dotychczasowego ukazują świetle. Pomieszczamy je zaś tem chętniej, ile, że wolne są od wszelkich osobistych zaczepek a przyczyny powstania obecnego, wcale zresztą niewesołego stanu rzeczy, są w nich przedstawione sine ira et studio, a za to z pewną znajomością lokalnych stosunków lwowskiego muzycznego świata.

„Nie moją rzeczą jest — pisze nasz korespondent — dociekanie czy p. Czelański przypomina z twarzy Chopina, czy Wagnera, o co wiodą spór jego namiętni zwolennicy; nie zastanawiałem się również nigdy nad tem, czy postępowanie jego z orkiestrą i solistami jest tak bezwzględnem i brutalnem, jak codziennie słyszymy od ludzi stojących na wrogiem mu stanowisku. Są to rzeczy dość błahe i świat o nich wiedzieć nie powinien. Faktem pozostanie to, iż orkiestra lwowskiego teatru gra pod batutą Czelańskiego, sto razy lepiej, niżeli grała przez ostatnich 25 lat swego istnienia i w tem właśnie nagłem polepszeniu upatruję źródło wszystkich sprzeczek, kłótni, awantur i nieporozumień, które zajmują obecnie lwowską prasę.

Powyższe twierdzenie nie jest tak niezrozumiałem, jakby się to mogło zrazu wydawać; nagłe podwyższenie poziomu, na którem dawniej stała orkiestra, o której mowa, nie mogło się obejść bez daleko idących zmian, a nawet kataklizmów wewnętrznych, echem zaś i co gorsza, koniecznem ich następstwem są właśnie obecne awantury.

Krótko mówiąc, nie słyszałem w swojem życiu mizerniejszej kapeli teatralnej nad tę, która napełniała trzeszczącem brzmieniem swych puzonów, zgrzytaniem smyczków i fałszywemi uderzeniami wiecznie odstrojonych kotłów salę starego teatru. Było to coś fenomenalnego, w swoim naturalnie rodzaju. Proszę sobie tylko wyobrazić orkiestrę liczebnie dość silną, ale pozbawioną kompletnie szlachetności brzmienia, nie szanującą rytmiki, nie uwzględniającą odcieni dynamicznych, niezdolną do wyrażenia niczego o co szło kompozytorowi, a obraz lwowskiej teatralnej kapeli będzie wprost portretowym. Dziwna rzecz! Przy 1-szych pulpitach zasiadali przeważnie dobrzy muzycy, drugie miejsca były zajęte przez rutynowanych kapelistów, pałeczkę dzierżył dzielny kompozytor, a przecież wszystko razem było tak blade, tak anemiczne i nieartystyczne, że nieraz uszy nie chciały wierzyć, iż napawają się dźwiękami orkiestry w stołecznym teatrze! Doskonali śpiewacy jak Floryański, Bandrowski, Jeromin, Warmut, Hellerówna, Korolewicz, Myszuga, Kruszelnicka, razili poprostu wspaniałym dźwiękiem swych instrumentów gardlanych przy drewnianem brzmieniu instrumentów orkiestralnych, a odcienia, substylizowane przez nich, szły w trzech czwartych na marne w obec apatyi, niedozwalającej na sumienne i artystyczne wycyzelowanie akompaniamentu. Dawnej orkiestrze teatru lwowskiego szkodził zbytek ufności w rutynę, szablon zaś, wróg artyzmu dusił ją formalnie swą zimną, obślizłą dłonią; dodajmy do tego stare, ohydne instrumenta i ogólną apatyę w wykonaniu a otrzymamy czynniki, których sumą było rzępolenie każdej opery, każdego dzieła muzycznego bez zapału, bez subtelności i bez wrażenia na słuchające masy.

Krytyka — sarkała o tyle, o ile zaściankowe stosunki i względy osobiste nie zatykały jej ust kneblem pobłażliwości. Od czasu do czasu pożalił się jakiś augur na liche instrumenta, raz na parę lat ktoś „śmielszej natury" poważył się przebąknąć, że to lub owo tempo było niewłaściwe... Resztę pokrywała wzajemna adoracya, istne wieko trumienne, pod którem spały snem wiecznym wymagania artystyczne i świadomość, że jest źle, a powinno być lepiej.

To też wszystko szło dalej „jak bywało w dawne czasy". Orkiestra nie zmuszana do wykończania szczegółów, grała coraz gorzej, coraz szablonowiej, lecz miły familijny stosunek jej do kapelmistrza nigdy nie był zamącony żadnymi sporami o kwestye artystycznej natury.

C, czy *cis, des,* czy *deses,* wielki Boże, czyż warto robić piekło o takie drobnostki, sprowadzać konflikty i wyrządzać przykrość ludziom, z którymi się od lat

Z wojny chińskiej.



Żołnierze europejscy niosą sztandary zdobyte na chińczykach w bitwie pod Pei-tsang.

tylu wspólnie pracowało? Czy opłaci się mącić ich błogi spokój dlatego, by jakieś tam *presto* lub *allegro con fuoco* wyszło tak, jak pan Verdi czy Meyerbeer raczył sobie życzyć? Czyż byłoby rzeczą stosowną wytężać płuca trębaczy i ręce skrzypków dla wydobycia *fortissime* tam, gdzie partytura o niem wspomina? Nie! Takie drobnostki nie zakłócały nigdy rozkosznego dolce far niente lwowskiej orkiestry teatralnej, a rozsądna miara i filozoficzny spokój były najważniejszą cechą jej produkcyi. Skutkiem tego wszystko razem brzmiało jak przez watę, a jedynem odcieniem dynamicznym, uznawanym przez dyrektora i członków kapeli było *mezzo-forte*, owo słynne lwowskie *mezzo-forte*, coś nieokreślonego, bezpłciowego, coś, co nudziło i denerwowało wszystkich, którzy słyszeli choć raz w życiu jakąś czwartorzędną orkiestrę w zaściankowym teatrzyku niemieckim.

Taki poziom wykonania nie mógł nie odbić się na usposobieniu ludzi zasiadających przy pulpitach lwowskiej kapeli teatralnej. Zwolna przyzwyczaili się oni do szablonowego traktowania swojej „roboty“, a — co gorsza — wyrobiło się u nich głębokie przekonanie, że tak, jak jest, tak też i być powinno. Każdy, ktoby się ośmielił żądać od nich czegoś więcej po nad mechaniczne odegranie swojej porcyi nut, był w ich oczach nowatorem, rewolucyonistą i wreszcie nudziarzem, zaprowadzającym jakieś „nowe mody“, powtarzania, *crescenda, sforzanda, calanda, fortissima,* rzeczy najzupełniej zbyteczne, bez których dotąd się obchodziło, więc i dalej może się obejść.

Gdyby powyższy obraz sprawił na kim wrażenie przesady, niech się odwoła do sądu kompozytorów polskich w wielkim stylu, którzy mieli do czynienia z opisywanem tutaj ciałem muzycznem. Jestem przekonany, że poufnie wypowiedziany ich sąd pokryje się zupełnie z tem, co tu napisałem. Co do publicznego orzeczenia, to względy... kurtoazya, koleżeństwo...

Cóż zatem dziwnego, że ludzie przyzwyczajeni do rzemieślniczego, szablonowego traktowania muzyki operowej, do wygodnych, nie fatygujących prób i wreszcie do niesłychanego pobłażania ze strony dyrygenta, musieli samą siłą konsekwencyi poczuć niechęć względem kapelmistrza, który chciał ich ująć w ryzy karności muzycznej i... niemuzycznej a przez stosowne ćwiczenie, długie i żmudne próby oraz cyzelowanie drobiazgów uczynić z niesfornej, nieartystycznej masy zwartą, karną i świadomą swych celów drużynę.

Nie myślę wcale bronić p. Czelańskiego przed różnymi zarzutami, które przeciw niemu słusznie podnoszono, nie przeczę, że poczucie taktu — nie w muzycznem znaczeniu — mocno u niego szwankowało, że nieraz drażnił całkiem zbytecznie ambicyę swoich podwładnych, prowokując mało taktownem zachowaniem się „genus irritabile“ dmuchający w waltornię lub piłujący skrzypce, lecz, mojem zdaniem, każdy inny dyrygent, któremu by przy przyszło do głowy wyruszyć z posad gnuśną bryłę lwowskiej orkiestry teatralnej, doznałby takiego samego przyjęcia, jakie spotkało młodego Czecha o lisztowskich włosach, a szopenowskiem obliczu. U każdego dobrego kapelmistrza lepsi, młodsi a pilniejsi członkowie orkiestry cieszyliby się większymi względami niż zapleśniali w szablonie rutyniści o zaściankowo- wygórowanych pretensyach, każdy żądałby, od podwładnych bezwarunkowej subordynacyi i nie ścierpiałby żadnych bądź co bądź karygodnych wybryków.

Być może, iż człowiek taktowniejszy i poważniejszy wiekiem od Czelańskiego zdołałby prędzej wdrożyć w podległych mu muzyków przymioty, na których im zbywa, lecz to pewna, iż nie stałoby się to również bez silnego z ich strony oporu. Consuetudo est altera natura. Kto raz przywykł do niesforności i artystycznego „laisser faire, laisser aller“ temu z trudnością przyjdzie nagiąć się do nowego porządku rzeczy.

Dawna harmonia towarzyska orkiestry teatru lwowskiego, okupywana dyssonansami muzycznemi znikła wraz z nimi w chwili, gdy batutę ujął p. Czelański. Jestem bardzo ciekawy, czy po ustąpieniu jego, zapanuje dawny status quo ante. W interesie publiczności leży, aby muzyczne fałsze nigdy już więcej nie powróciły na swoją ongi ulubioną arenę; o dyssonanse towarzyskie między członkami kapeli, a jej dyrektorem słuchacze mniej się będą troszczyli.“

Tyle słów naszego korespondenta. Od siebie musimy nadto dodać, iż jedno z pism lwowskich użyło zatargów między p. Czelańskim a członkami orkiestry za pretekst do brutalnego napadu na pobratymczą narodowość czeską, do której zalicza się p. Czelański. Nie potrzebujemy objaśniać czytelników całej ohydy tego postępku; etyka ludzi, obrzucających błotem cały naród za winę jednostki, mówi sama za siebie.

Dr. Franc. Prešeren.

Wyjątek z lirycznej epopei.

„Chrzest nad Sawicą“.

I.

Jak sławna Hero, w Abydos kapłanka,
Tak piękna była Bogumiła, córa:
Niewinność w oczach miała ta cyganka;
Mimo — że piękność, jak różowa chmura
Krasi jej lice — to ona, wybranka,
Anielskie czyste ma na sobie pióra:
A choć szesnastą skończyła już jesień,
— Dusza jej nie zna miłości uniesień.

II.

Aby bogini — jak to jest zwyczajem —
Złożyć ofiary, Čertomira łodzie,
Z tego, co rośnie nad bystrym ruczajem,
Z trzody, ze zboża i z pierwocin w grodzie
Wziąwszy na siebie, płyną obcym krajem,
Nurzając piersi w kryształowej wodzie.
Lecz gdy Čertomir swe ofiary składa,
Miłość w głąb piersi tajemnie się wkrada.

III.

Cześć ci Čertmirze! Jak oczarowana,
Dzieweczka chwyta miłości spojrzenie,
Dziwnym, nieznanym urokiem owiana;
W oczach błyskają zachwytu płomienie.
Jak zorza, ze snu budząca się z rana,
Świetlaną twarzą płoszy nocy cienie:
Tak ona płonie, a zaklęte siły
Dziś, po raz pierwszy, wam ręce spoiły.

IV.

Niech inny piewca wam szczęście opowie,
Które obojgu rok kwitnęło cały:
Jakto Čertomir lądował w ostrowie,
Jakto jej ojcu dni młode wracały,
Niech inny pieśniarz w rymowanem słowie
Wyśpiewa wszystko — jam z nieszczęść zbolały —
Niechaj opowie te miłosne drżenia,
Co je rozłąki zabiły cierpienia.

V.

Hej Čertomirze! Już chwila rozstania!
Czyli nie słyszysz surm wojennych wrzawy?
Wśród łun pożarów świątynia się słania,
Grożąc runięciem, a w twoje dzierżawy
Vailhun sierdzisty wniósł jęki konania:
Z tarczą rycerze ruszają w bój krwawy
Za wiarę ojców, wiarę twej kochanki,
Dla której ślubne marzyłeś już wianki.

VI.

Gorzkie i ciężkie przyszło rozłączenie!
Na chłodne lica łez im płyną żary
I smutni stoją — jak grobów kamienie.
Usta się z sobą, jak w chwili ofiary,
Spoiły mocno, a głuche milczenie
Wydziera ojcu z łzami resztki wiary
W przyszłe ich szczęście, i słów mu nie stanie,
By cień nadziei wpleść w to pożegnanie.

VII.

Zwyciężon stoi nad jeziora falą,
Ponad Boheńcem, na miecz wsparty krwawy.
Gdzie się szafiry bezdenne kryształą —
On wzrok utopił i myśli swych wrzawy
Nie może zgłuszyć, które jak młot walą
W jego jestestwo. I wszystkie obawy
Z życiem chce zabić z rozpacznej zgryzoty
Lecz go do lubej wiedzie nić tęsknoty.

VIII.

Jeszcze raz spojrzeć na swoje kochanie,
Zobaczyć miejsce, gdzie żył szczęściem chwilę:
Czyliteż serce jej takiem zastanie —
Jakie zostawił, czy też, jak motyle,
Zmieniła płocho swe kobiece zdanie,
Czyliteż w zimnej już legła mogile,
Czyli porwana? wszystko to rozstrzygnie,
Nim duch uleci i serce zastygnie.

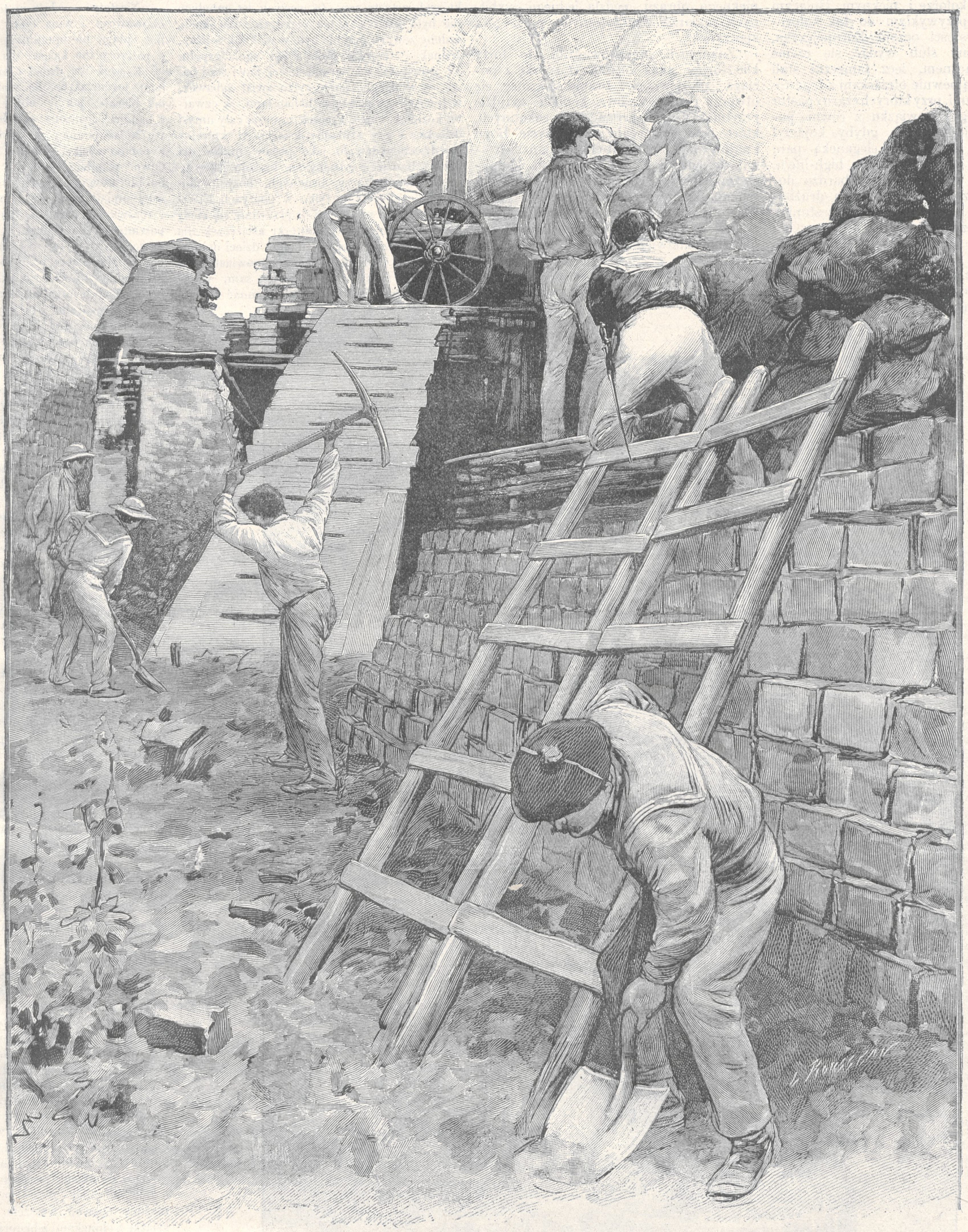
Ze słoweńskiego tłómaczył

Michał Magiera.

Nasze ryciny.

Ostatnimi czasy dużo mówiono i pisano w Paryżu o głośnej historyi małżeńskiej, której osią był — samochód. Młoda

Z wojny chińskiej.



Obrona poselstw przed hordami „czerwonego kułaka“.

hrabina de C. sprzykrzyła sobie jarzmo hymenu i pewnego pięknego poranku uznała za stosowne opuścić mury swego pałacu, zostawiając w nich kosztowne sprzęty, wspaniałe obrazy i — męża, który nie odpowiadał jej wymaganiom. Rzecz naturalna, iż w podróż nie wybrała się sama, a rączy kłusak, zaprzężony do lekkiej bryczki na dwóch kołach, niósł w świat daleki losy dwojga ludzi... Nagle, mocniejszy powiew wiatru doniósł do uszu zmykającej pary okrzyki wściekłości, połączone z charakterystycznem trajkotaniem. Jedno spojrzenie rzucone po za siebie, wystarczyło aby przekonać zbiegów o grożącem niebezpieczeństwie; oto mąż, dowiedziawszy się o zamiarach niewiernej małżonki, dosiadł co prędzej samochodu i gnany zazdrością i benzyną pędził jak wiatr w ślady zbiegów.

Rozpoczął się szalony wyścig między miłością ciągniętą przez konia a zazdrością wiezioną na automobilu, nogi końskie wyciągały się jak struny, tłok samochodu poruszał się z szybkością, któraby przyniosła zaszczyt językowi największej plotkarki, aż w końcu siły zwierzęcia niemogły nastarczyć bezdusznej, lecz wytrwałej maszynie. Poczciwy kłusak wyciągnął kopyta, a w ślad za tem pioruny gniewu zdradzonego męża spadły na niewierną kobietę i jej wspólnika. Co się stało dalej, o tem milczą skandaliczne kroniki paryskiego świata, faktem jest tylko, iż bardzo wielu ludzi zaopatrzyło się po tej aferze w znakomite automobile jednej ze znanych firm paryskich, dla której powyższe zdarzenie było wprost nieocenioną reklamą. Gdzieście, o czasy romantycznych pogoni na wiatronogich rumakach!

O strasznem zdarzeniu doniosły niedawno dzienniki niemieckie. Dwóch robotników murarskich pałało ku sobie wzajemną nienawiścią, której skutki objawiały się w sprzeczkach, bójkach i szkodzeniu przeciwnikowi gdzie i jak się dało. Stan taki trwał już parę miesięcy, gdy jednego dnia spotkali się przy naprawie komina fabrycznego, na rusztowaniu 30 metrowej wysokości. Zrazu obaj udawali zajętych pracą, lecz w ciągu roboty przyszło do nieporozumień, które zakończyły się walką na pięści. Słabszy z przeciwników, widząc że musi uledz, chwycił się rozpaczliwego środka celem zmuszenia drugiego do zaprzestania walki, a mianowicie zarzucił mu na szyję powróz, grożąc zrzuceniem w przepaść, w razie gdyby natychmiast nie opuścił rusztowania. Na nieszczęście tamten był również zręczny i potrafił oplątać powrozem ciało swojego wroga. Zaczęło się rozpaczliwie szamotanie na wąskiej przestrzeni kilku desek, aż wreszcie obaj zapaśnicy stoczyli się w otchłań...

Ciała ofiar nieszczęsnej namiętności znaleziono na bruku bez życia, pokaleczone nie do rozpoznania.

Prezydent Krüger używa obecnie w Holandyi wywczasu po trudach wojennych, lecz osoba jego zajmuje dalej całą Europę, a wszystkie niemal pisma przypominają ważniejsze epizody z jego podróży przez Francyę i Niemcy. W zeszłym numerze podaliśmy już kilka rycin przedstawiających niektóre momenty z tej tryumfalnej choć bezskutecznej pielgrzymki, dzisiaj, prócz rycin przedstawiających wizytę u prezydenta rzeczypospolitej francuskiej Loubeta, wjazdu do Marsylii i hołd składany sędziwemu dostojnikowi przez sztandary francuskie, znajdą czytelnicy podobizny dwóch najwybitniejszych wodzów dzielnej armii boerskiej, generałów Bothy i Deweta. Obaj są doskonałymi żołnierzami i nieraz zalali Anglikom dobrego sadła za skórę, jest zaś nadzieja że i nadal będą czynić to samo. Walka partyzancka o wolność ojczyzny nie prędko się myśli zakończyć, a Botha i Dewet biorą w niej czynny udział. Nic zatem dziwnego, że Anglicy już nieraz ich uśmiercali — szczęściem tylko na papierze!

Druga wojna zajmująca sobą szpalty pism całego świata również nie myśli się jeszcze kończyć, aczkolwiek wiadomości o bitwach i potyczkach na razie całkiem przycichły, ustępując miejsca depeszom o mowach cesarza Wilhelma, recytowanych ex re powrotu do niemieckiej ojczyny paru setek żołnierzy, których nosy nie powąchały nawet prochu w żadnej bitwie z upartymi synami niebieskiego państwa. W obec braku senzacyjnych wiadomości z placu boju, organy prasy europejskiej odświeżają wspomnienia dawnych zwycięstw, przywodząc czytelnikom na pamięć bitwę pod Pei-tsang i słynne oblężenie poselstw w Pekinie. W dzisiejszym numerze znajdą czytelnicy ryciny, przedstawiające europejczyków ze sztandarami zdobytymi na wojskach chińskich w powyższej bitwie, oraz obronę poselstw przed zastępami „czerwonego kułaka“.

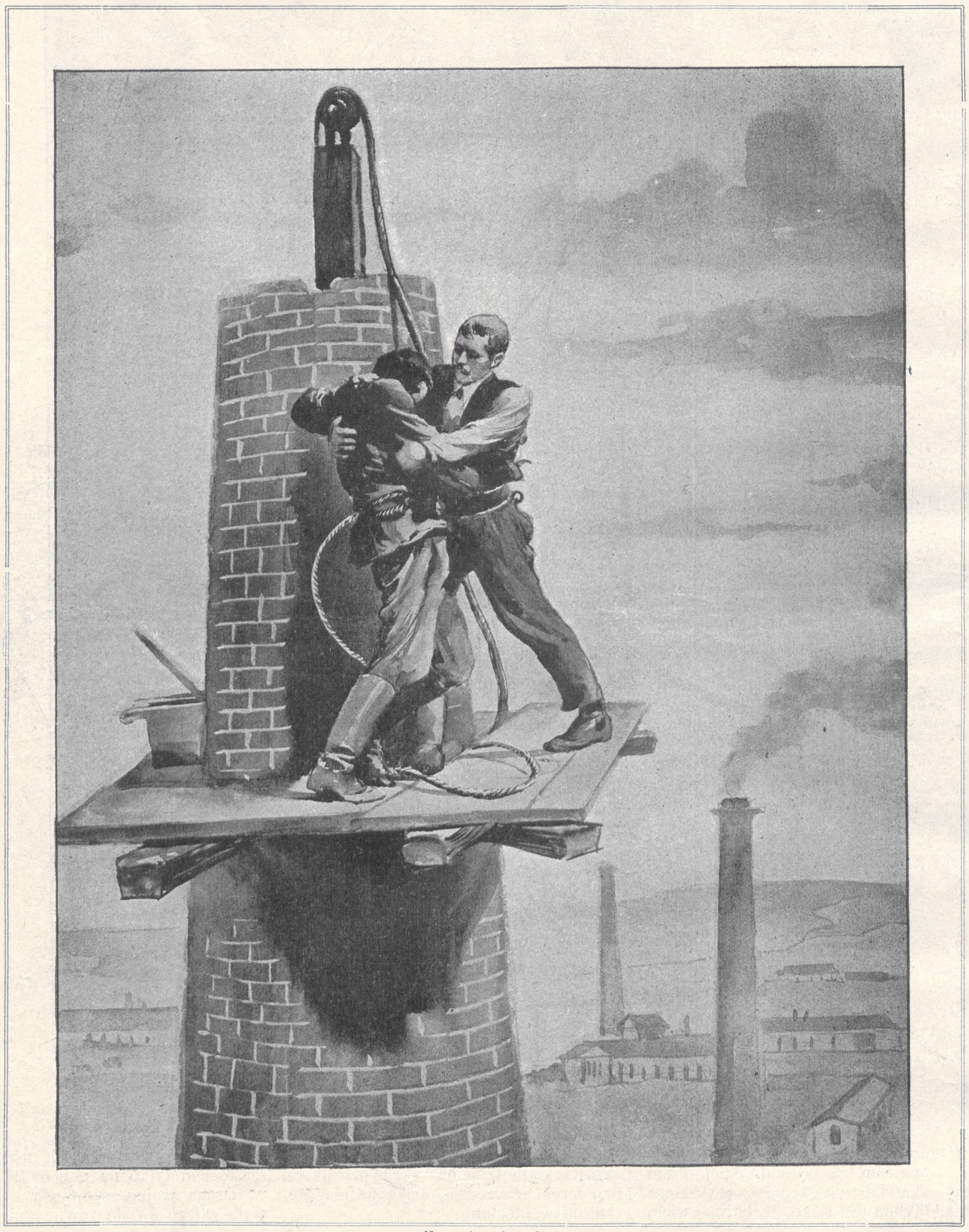
Widocznie Amor kieruje swe strzały w serca ludzkie bez różnicy nietylko stanu i pochodzenia lecz nawet i — koloru, skoro w Afryce stają przed pastorem także orszaki weselne, jak ten, który można oglądać na jednej z rycin zamieszczonych w dzisiejszym numerze. Panna młoda, pan

młody, świadkowie, wszystko to cieszy się ziemską powłoką ducha o nieskazitelnie hebanowym kolorze i pięknym, lśniącym połysku. Nieprzywykłym do tak kolorowych uroczystości oczom Europejczyka, musi podobny ślub wydać się czemś wielce dziwacznem, lecz tameczni stali mieszkańcy są pewnie otrzaskani z tego rodzaju obrzędami, przy których czarny pastor dopełnia swego obowiązku z równie poważnem obliczem, jak gdyby kojarzył najbielszą i najbardziej elegancką parę nowożeńców z angielskiego high-life'u. Zato orszak weselny jest w bardzo dobrym humorze; snać hebanowi drużbowie cieszą się nadzieją sutego poczęstunku, który zakończy godnie ten ciekawy dla europejskich oczu obrzęd ślubny „na czarno".

Do czego nakoniec się nie posunie amerykański humbug! Ostatnim, jak dotąd, jego wyrazem jest „elektryczny człowiek" wynalazku Ludwika Filipa Perew. Podobiznę tego „cudu nowoczesnej techniki" mogą czytelnicy oglądać w dzisiejszym numerze. Jest to automat, poruszany elektrycznie i ciągnący za sobą wózek, połączony z nim za pomocą dwóch krótkich łańcuszków, które kończą się w metalowych rurach. Ręce automatu są przymocowane do tych rur, a elektryczna baterya służy za motor temu dziwacznemu środkowi lokomocyi. Wynalazca twierdzi, że ten przez niego skonstruowany szybkobiegacz będzie mógł stawać do wyścigów z błyskawicznymi pociągami kolei żelaznej! Na uwagę zasługuje to, iż w klatce piersiowej automatu znajduje się fonograf o niezwykle donośnem brzmieniu, tak, że ów sztuczny człowiek będzie mógł wygłaszać w czasie biegu stosowne zdania, np. „Idę z Nowego Yorku do San Francisco", lub „Pędzę szybciej od lokomotywy!" Czysto po amerykańsku!

Szereg rycin pomieszczanych w dzisiejszym numerze zamyka reprodukcya pięknego obrazu, pędzla jednego wybitnych malarzy współczesnych p. t. „Na spoczynek".

Zakonnica przyprowadziła do furty klasztornej jakąś biedną staruszkę i pociąga za dzwonek; brama wkrótce się otworzy i nieszczęśliwa kobieta znajdzie przytułek pośród grona sióstr zakonnych, które poświęciły całe swoje życie Bogu i najpiękniejszej z cnót chrześcijańskich — miłosierdziu względem biednych i opuszczonych. Jak widzimy, treść to niewyszukana, lecz przemawia do serca swoją prostotą i mistrzowskiem uzmysłowieniem cudnej przypowieści: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią".



Na śmierć i życie.

Książki dla młodzieży.

„Książka jest dobra, kiedy w niej autor mówi, „co trzeba", kiedy nie mówi tylko, „co trzeba," i kiedy mówi, „jak potrzeba".

„Złej książce, a długiej, wiele przydać trzeba, ażeby była krótszą".

Zdania te znajdują się w rozmowach Platona o wychowaniu młodzieży, a przypomniały nam się, gdyśmy poczęli szukać za książkami dla dziatwy, na podarki gwiazdkowe i noworoczne.

Można to przyznać — wydawnictw jest wiele, są ozdobne, piękne, ilustrowane, ale — jakieś zimne w nich bije serce, jakieś niby uśpione dzwonią echa — niby przygłuszone odzywają się pieśni.

Bierzemy książki dla dzieci od lat najmłodszych. Wydawnictw wiele. Ryciny kolorowane, piękne, nawet przyznać trzeba w niektórych artystyczne. Za naszych lat młodych nie było książek w tak pięknych sukienkach, ozdoby zewnętrznej nie było w nich tak wiele... Jednak — treść... mdła i bez ognia zapału. W jednej książce, grono dzieci bawi się i bawi — w drugiej znów tylko świat zabawek, w trzeciej, zwierzęta są bohaterami, w czwartej koziołek, capek i piesek zajmują cały umysł dziecka, a gdy szukamy książki, w którejby się dziecinie dawało jako posiew miłość dla biednych dzieci, gdzieby się budziło iskrę uczucia dla nędzarzy, brudnych, bosych, głodnych — niestety — tylko w poezyach Konopnickiej szara nić tej myśli przewinie się kiedy niekiedy. Autorowie i autorki książeczek dla dzieci, zawsze widzą przed sobą dzieci domów zamożnych i dla nich układają powiastki lub wierszyki, rysując im świat ten sam, w jakim one żyją. Należy jednak pomnąć o tem, iż od lat najwcześniejszych potrzeba tępić ziarna egoizmu, a budzić miłość dla drugich i to — dla niższych i biedniejszych.

Lecz weźmy książki, przeznaczone dla starszych dzieci. Jakiż świat znów tam odnajdziemy? Z powieści historycznych da się wybrać niejeden tomik dobry, zajmujący i pouczający — z dziedziny nauk przyrodniczych także znajdują się rzeczy bardzo dobre, a powiastek na tle społecznem nie mało.

Z bólem i smutkiem przecież przerzucamy książkę za książką.

Wszędzie — na każdej wycisnęła cenzura swoją straszną pieczęć niewoli i despotyzmu — wszędzie — wśród kart i treści ich — cenzura wykreśliła każde słowo cokolwiek cieplejsze i serdeczniejsze — wszędzie zamiast „Ojczyzny" znajdujemy „kraj" — zamiast wolności dziwnie określane i wypowiadane jakieś lepsze czasy, — zamiast niewoli i kajdan — wspomnienia o dawnych, świetnych, złotych czasach...

Niestety!... Jest w tem wielki błąd wychowawczy i wina tych, którzy nie wołają, nie żądają, nie upominają się po księgarniach o patryotyczne książki dla swoich dzieci.

Książek dla dzieci i młodzieży nie wolno nam lekceważyć, nie wolno ich nam brać tak biernie, jak je niesie ruch wydawnictw i handlu. Jesteśmy narodem, który ma prawo żądać pomocy w wychowaniu młodzieży, a pomoc wielką i doniosłą może i powinno dawać piśmiennictwo. Nie braknie wśród grona literatów i literatek naszej doby serc, któreby umiały gorąco przemawiać do młodzieży i rozświetlać przed jej duchem drogi wielkich powinności dla Ojczyzny, ale brak nam wydawców, którzyby zechcieli wydawać książki bez srogiej pieczęci cenzury! Jeżeli — srogi los niedoli i niewoli zdarzył to, iż wielka część braci naszych musi kupować dla swoich dzieci książki cenzuralne — czy wypływa z tego wniosek konieczny, iż i ci, którzy mieszkają w prowincyach, obdarzonych „konstytucyą", także muszą cenzuralnemi książkami dzieci obdarowywać?

Niestety! tak jednak jest... Ogromna fala wydawnictw dla młodzieży płynie z Warszawy i — rozlewa się po dworach, pałacach, dworkach, a nie rzadko nawet po izdebkach lub chatach tu, gdzie możnaby śmielej pisać i głębiej rysować w sercu dziatwy.

„Książka jest dobra, kiedy w niej autor mówi, co trzeba, kiedy nie mówi tylko, co trzeba i mówi, jak potrzeba" — przypominamy sobie znów słowa greckiego mędrca, a radzibyśmy je zastosować do wydawców naszych książeczek. Niejedna książka, dobra w znaczeniu głębokiem, rozeszłaby się może w więcej egzemplarzach i edycyach, niż spodziewają się wydawcy, gdyby tylko była wydana na Galicyę i Księstwo, a mówiła i śpiewała to, czego jej mówić i śpiewać nie pozwoli pieczęć straszna — pieczęć cenzury.

Kupują ci i owi książki dla dzieci — kupują ich wiele, cieszą się że piękne, barwne, bogate — ale nie rozważą, że one dla polskich dzieci nie mają nic więcej nad to, iż są w polskim języku napisane!... Przetłómaczcie te same książeczki na język niemiecki, francuski, włoski i turecki — przydadzą się dla tamtych dzieci tak samo, jak dla naszych.

Książki dla młodzieży, to nie igraszka, jak wielu sądzi. W tych książkach zamyka się świat pierwszych wrażeń i uczuć, myśli i pragnień, wychodzących dalej po za ciastka i sukienki, zabawki i dobry obiadek, ale potrzeba dzieciom Ojczyznę nazywać jej własnem i świętem imieniem — wolność zwać wolnością, a i wrogów Polski nazwać po imieniu.

Były czasy, kiedy wszelkie książki polskie i patryotyczne, w obszarze całej Ojczyzny naszej były zabronione, prześladowane i konfiskowane. I cóż? Czy Mickiewicza nie znano i nie czytano mimo tego wszędzie?... Czy nie dociskały się do naszych domów książki, drukowane w Lipsku, Paryżu i gdzieindziej? Czy nie odczytywałoby niejedno dziecko polskie ze łzami wzruszenia i uczuciem uniesienia takiej książki — wydanej „bez cenzury", w którejby zamiast Indyan, walczących z Anglikami, widziało powstańców naszych, ukrytych w lesie — gdzieby zamiast przygód czerwonoskórych miało opisane smutne cierpienia braci, ginących w kopalniach Sybiru?...

O wszystkiem piszemy i drukujemy, ale o tem najmniej. Jeśli „cenzura" wspaniałomyślnie pozwoli wreszcie na wydrukowanie książki z obrazkami z historyi, to owa historya zawsze jest bardzo daleka, mglista — o wieki całe odsunięta od życia dzisiejszego; ot — młodzież nasza mogłaby wyrabiać się na lekturze żywotnej, czysto narodowej, rodzimej i szlachetnej. Tylko — nie ma wydawców.

Biblioteka Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie — to znów „polecana" przez Wys. c. k. Radę szkolną krajową. A tam — tak samo Ojczyzna nazywa się krajem — niewoli wymówić nie można — patryotyzm, to rzecz dobra, ale gdzieś w czasach Sobieskiego, lub Batorego.

Wydawnictwa Zukerckandla w Złoczowie (żyda!) to są jeszcze najpatryotyczniejsze z książek, rozchodzących się wśród naszej młodzieży, ale pod innymi względami jest to lichota tandecka.

Innej firmy, którаby „bez cenzury" wydawała dla dzieci książki, rzec można, nie ma, bo nie liczy się raz na lat parę zjawiona książeczka...

Tak przedstawiają się wydawnictwa dla naszej młodzieży, rozpatrywane z jednej strony. Odnosi się wrażenie, iż są to ptaki bez skrzydeł — kwiaty bez woni — światła bez blasku. Niestety — być muszą, ale nie wszystkie i nie dla wszystkich!.. Gdyby tylko trochę dobrej woli — możnaby wydawać wiele rzeczy bez cenzury, ale pochyla się kark dobrowolnie pod jarzmo i zdaje się, że tak być musi, jak jest.

Dla Galicyi, Śląska i Księstwa — możeby przecie warto było rzucić parę książeczek,

pisanych nietylko językiem, ale i duchem polskim, bo wielka to powinność rozwijać ducha u dzieci i rozgrzewać serca miłością Ojczyzny.

Kotki, baranki, lalki i pieski — wszystko to miłe i lube, ale to nie Ojczyzna i nie wychowanie narodowe.

Dlatego też serdecznie zwracamy uwagę naszą Rodzicom, ażeby w wyborze książek szukali przedewszystkiem treści i ducha, a nie obrazków i ceny.

W braku zaś książek szczerze patryotycznych polecić możemy do prenumerowania wybornie redadowane pismo dla dzieci „Mały Światek“, który prawdziwie wyrabia ducha i miłość Ojczyzny rozbudza. Wychodzi we Lwowie i jest już odpowiedni nawet dla dzieci od lat 4 do 12—14. Ale temat gawędy jeszcze nie wyczerpany.

Rozpowszechniło się u nas, właśnie przez tę niewolę cenzuralną, która obcinała i wiązała myśli autorów, iż rzucono się do pisania lub tłómaczenia powieści z życia Indyan, Amerykanów, Murzynów i rozmaitych innych ludów.

Powieści te są fantastyczne, pełne przygód i awantur strasznych, zaciekawiają, intrygują, zajmują tak dzieci, a zwłaszcza chłopaków, iż chwilami trudno ich od takiej książki oderwać.

Rozważmy, jaki w tem jest czynnik wychowawczy? Oto przedewszystkiem wyrabia się silne pragnienie wrażeń i przygód dziwacznych, a w ślad za tem ginie ideał życia cichego, oddanego pracy, poświęceniu i cnocie. Chłopak, który się wczyta w dziwaczne powieści podróżników afrykańskich, czy indyjskich, lekceważy i pomiata treścią życia w mozolnej walce o chleb, o zwalczenie jakiej wady w sobie, o poświęceniu dla kogoś biednego, mało znanego.

Sądzą niektórzy, iż przez czytanie książek o podróżach w obcych światach obznajamia się dziecko z krajami dalekimi, ludami tamtymi i t. p. Bez zaprzeczenia. Pochwyta ono cokolwiek o brzegach Missisipi, o lasach dziewiczych, o walce czerwonoskórych, ale za to jak mało wie o życiu ludu naszego, o naszych lasach i rzekach, o naszych cierpieniach narodowych, o walce braci pod zaborem krzyżackiej hordy, która germanizacyą żre życie przyszłości, — lub o tej stopie „północnego niedźwiedzia“, który, jeśli nie może wprost zabić, chce chociaż zadusić olbrzyma, obalonego pod jego nogi. Nie tak się w wychowaniu młodzieży używa lektury, jako środka bardzo ważne miejsce zajmującego w rozwoju uczuć, myśli i charakteru.

Jeżeli literatura narodowa jest i ma być obrazem życia duchowego narodu, to bez zaprzeczenia literatura dla młodzieży przeznaczona jest obrazem tego, jak naród swoje dzieci umie i chce wychowywać.

Słusznie jeden z uczniów gimnazyalnych zwrócił uwagę naszą w ten sposób: „Gdy dają nam z biblioteki szkolnej czytelni książki o Indyanach i awanturach podróżników do czytania w klasie 2-giej i 3-ciej, to potem, gdy przyjdzie pora na czytanie Korzeniowskiego lub Kraszewskiego, zupełnie nie ma na to ani cierpliwości, ani wyrozumiałości.

Zapewne, że spokojny, opisowy, etycznomoralny Korzeniowski nie zajmie panicza, który już czytał tragiczno-dramatyczno-awanturnicze książki o tem, jak się pożerają ludzie, jak chwytają na arkany dzikich, jak męczą i torturują podbitych.

Jeśli Francuzi, Anglicy i inni piszą takie rzeczy, a nasi wydawcy naszym dzieciom ich dostarczają, wszystko to jeszcze nie staje się dogmatem przekonywującym, iż my mamy serca naszych dzieci na tem wyrabiać.

Żądajmy w księgarniach rzeczy narodowych, szlachetnych, rzeczy niosących oświatę w kierunku wyrabiania cnót moralnych i obywatelskich, a polowania na nosorożce, lub podbijanie dzikich zostawmy tym narodom, które pragną z swej młodzieży uczynić ujarzmicieli wolnych!

Były czasy, kiedy nasza młodzież karmiła się poezyą, deklamowała piękne wiersze, śpiewała pieśni patryotyczne lub ludowe, a dziś — znamy akademików, którzy nie czytali „Dziadów“, mówiąc, iż to nie warte trudu, a treść zna się i tak!

Ażeby uzyskać w narodzie to wielkie dzieło odrodzenia, zrównania klas i warstw społecznych pod względem miłości bratniej, które może stać się filarem przyszłości Ojczyzny, potrzeba zaznajamiać młodzież naszą z życiem ludu i rękodzielników, podnosić ich zasługi, oraz oceniać ich pracę mozolną.

Wszystko to są wzniosłe temata dla wydawnictw i książek dla młodzieży, a stokroć lepsze będą z tego plony, niż z tej plewy, przyodzianej w szaty barwne i kwietne. Ile to ślicznych jest dzieł w literaturze naszej, któreby się nadawały na książki dla młodzieży, a są wyczerpane i ledwie w antykwarni ktoś się ich doszuka?

Gdy przyjdzie pora gwiazdkowych podarków i półki księgarskie poczną nas wabić, zróbmy wybór i żądajmy, ażeby wydawcy stosowali się do naszych planów, a nie my brali na ślepo to, co owa lub tamta firma wyda.

Nie ilość rycin, nie grubość książki, nie jej cena stanowi o wartości lub pożytku dzieła. Nie wychowamy młodzieży szlachetnie, jeśli nie będziemy dobierali ostrożnie dzieł, dla niej do czytania przeznaczonych.

Kto widzi dzisiejsze czasy w barwie prawdziwej, to jest tak szarej i ponurej, w jakiej one są, ten musi szukać środków zaradczych i na wychowanie młodzieży większą uwagę zwrócić.

Książka może być skarbem dobroczynnym, ale — trzeba ją umieć wybrać i podać.

Książki nadesłane do redakcyi.

Dla dzieci starszych.

Z biegiem Wisły. — Obrazki o kraju. (Jadwiga Chrząszczewska. Jadwiga Warnkówna.) Z 200 rysunkami w tekście i 2 mapami — nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa — Kraków.

Książka ta zasługuje na rozszerzenie. Opracowana starannie, daje w istocie pogląd na wielki kawał naszej ziemi, lud rozsiadły na Powiślu — pamiątki historyczne oraz i legendy i śpiewy ludowe. Niemożna odmówić tej książce wielu dobrych zalet, jednakże pisana chłodno i sztywnie. Przejawia się i tu tosamo, co w wielu wydawnictwach nowszych zauważyliśmy. Więcej rozumu, niż uczucia. Więcej wiedzy niż serca.

Książka ta i na dzieci podziała w taki sam sposób. Pamięć zachowa ztamtąd wiele, ale uczucie — nie rozdzwoni pieśnią serdeczniejszą. Jeśliby ta książka użyta była w wychowaniu prywatnem jako podręcznik do lekcyi geografii ojczystej — ożywiona wykładem nauczycielki — ogrzana ciepłem słowem, może znacznie więcej zdziałać. Ale dana młodzieży tylko jako książka — wiele rozświetli, ale nie — rozgrzeje.

W każdym razie, w śród wielu innych książek, należy jej się miejsce wybitne i — powinna być w każdym polskim domu.

Wspomnienia Haliny. — *Złoty pieniądz*. — *Ciotka Iza* oraz *Spełnione przyrzeczenie*, są to cztery powiastki w jednym tomiku dość dużym, napisane przez Julję Piasecką. *Złoty pieniądz* i *Spełnione przyrzeczenie* mają o wiele więcej zalet od dwóch powyższych powiastek. *Wspomnienia Haliny* dają obraz dziewczynki bardzo źle wychowanej, kapryśnej i niedobrej, dla której dom rodzinny nie mógł być wychowawcą aż dopiero pensya umiała złamać złe nawyknienia i nałogi. Na taką tendencyę nie godzimy się w zasadzie. Ile możności zawsze lepiej malować obrazy dobre niż złe — nie należy też wykazywać, iż pensya ma być domem poprawy, gdy dom nie umie sobie dać rady z kapryśnicą, ale już najmniej stosowne rozpisywać się o zbytkach, przepychu i dogadzaniu nadmiernem, bo to w wychowaniu ze swoim celem rozminie się.

Złoty pieniądz, to powiastka prześliczna, a osnuta na tle nader rzadko u nas poruszanem. Uboga rodzina stolarza w przeciwstawieniu do bogatych dzieci państwa Zaniewskich. Takich więcej — a będzie więcej łez otartych i mniej chmur czarnych w życiu.

Spełnione przyrzeczenie, to powiastka bardzo dobrze obmyślona i opracowana, jakkolwiek robi wrażenie, iż struna główna — przeciągnięta. W każdym razie chłopak ten, który postanawia zwalczać swój temperament gniewliwy, to wzór dobry do poznania. Książeczka wydana starannie i ryciny dobre. Nakład Gebethnera i Wolfa.

Jan Niewdżyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską.

Prace wyżej wymienionej autorki znane są i cenione od dawna. Czerpią one zwykle temat z kart historyi i wprowadzają myśl młodą w dawne czasy. Przyznać jednak musimy szczerze, że taka powieść jak Jan Niewdżyd — robi wrażenie nie haftowanej kwiatami na srebrnej kanwie roboty, ale rytej na stali lub twardem drzewie. Ów bohater, chłopak pyszniący się szlachectwem „z dziadów pradziadów“, ów dwór „jaśnie wielmożnego starościca“, owe towarzystwo wokoło — to wszystko może być, że bardzo prawdziwe, ale jaki wpływ wywrze na młode serce?... Możeby się był znalazł nie jeden rąbek piękniejszy i jaśniejszy, a tem samym możeby się ta pycha szlachecka mogła była skryć cokolwiek głębiej. Ale w obec wielu zalet, książka ta polecona być może śmiało rodzicom, jako odpowiednia dla młodzieży — zwłaszcza dla chłopaków.

Las przez Maryę Weryho. Wydanie drugie — nakład Gebethnera. Rzecz wybornie napisana dla dzieci młodszych, język łatwy, opowiadanie gdzieniegdzie wesołe i dowcipne, prawdziwe cacko. Czyta się ją z wielkiem zajęciem, a dzieci wprost radeby ją pochłonąć, bo las staje się im bliskim i coraz bliższym i rozumieją jego szumy i gwary, jego szmery i śpiewy.

Władca nad morzem, taksamo doskonała książeczka, ciekawa, zajmująca i przybliżająca ku nam Bałtyk nasz kochany, a tak daleki. Te dwie książeczki możemy polecić z całego serca dla dzieci od lat 6—10—12.

Królewicz i Niedźwiedź, to są dwie powiastki w jednym tomiku — napisane przez Teresę Jadwigę. Polecić je można śmiało do bibliotek młodzieży, bo też każda praca tej autorki ma do tego zupełne prawo. Radzibyśmy jednak szczerze, aby takie wspomnienia i obrazy były malowane zawsze więcej sercem i dawały światła więcej nad mroki. Owa postać królowej, matki Władysława królewicza, w samej rzeczy nie miła i złością ziejąca — wszak to nie promienna gwiazda z czasów przeszłości, a mamy typy pełne cnót i aureolą poświęcenia otoczone.

Pojednani, powieść z czasów Napoleona, w której Polak-bohater chwyta za serce, to rzecz bardzo cenna dla bibliotek młodzieży.

Z książek dla dzieci młodszych, niepodobna wyliczyć, które zasługują na kupienie, gdyż chyba trzebaby stworzyć katalog i to podać do odczytania czytelnikom. Są rzeczy dobre, piękne i pożyteczne, tylko jak powiedzieliśmy na wstępie — za mało patryotyczne.

Kończąc tę gawędę o książkach, ośmielamy się jeszcze zwrócić uwagę Szan. czytelnikom na to, iż wśród podarków gwiazdkowych książki powinny zajmować pierwsze miejsce. Młodzież trzeba naginać do czytania wcześnie, bo w tem tkwi początek oświaty głębszej.

Kupując zaś dla dziatek książki, poprośmy w księgarni bodaj o tanie broszurki dla dziatwy ubogiej i postarajmy się, aby dostały się one do rąk dzieci biednych. Nie daleko nam za niemi szukać. U stróża, u szewca, u stolarza, u posługaczki, u mleczarki, dzieci są — tylko my o nich pamiętajmy!..

Książki to nie karty papierowe, to myśli i uczucia obleczone w szatę martwą, lecz życie niosące i życie ducha budzące!..

Listy z linii A-B.

VIII.

Proletaryuszów spokojne już masy
I ułagodzon agitator wszelki,
Bo już zjedzone ostatnie kiełbasy
I wypróżnione ostatnie butelki,
I siedzi w kozie kilku towarzyszy,
I krzyku „hańba“ niebo nie zasłyszy.

Jakże się cały przedstawia dorobek?
Dla jednych smutno — dla innych weselej
Przepadł niejeden żydowski parobek
I po łbie dostał niejeden wodzirej.
Już Prałatowi nikt na lampę nie da
I już z Daszyńskim była wielka bieda.

Dziś tylko echo w gazeciarskich łamach
Czasem minione te walki przypomnie,
Exempli gratia: na Breitera zamach
Co zdał się całym Lwowem wstrząść ogro-
[mnie,
Gdy dłoń baciarza z sztyletem się wzniosła
Godząc na życie swego mistrza — posła.

Lecz się senzacya zmyliła w rachubie
I w jej rubrykach wielkie świecą pustki,
Bo kruk krukowi oka nie wydziobie
A baciarzowi szło tylko o „szóstki“,
Które, gdy z kuryi piątej wylazł na tron
Wypłacić drabom swym zapomniał patron.

I w *burżuazie* wchodzi w modę ramach
(Tak jest!.. Socyały niech się z złości
[wścieką!)
Ale już zyskał na swem tle i ramach
Odkąd się złączył u nas z „Sztuką piękną“
Odkąd artyści tak mali jak duzi
Biją oklaski, kolegom — po buzi!...

Nie wiem o ile adoracya taka
Ma swą doniosłość dla artystów świata?
Jedno rzec można: wart Fałat Kosaka
I wart też Kosak swojego Fałata,
Ile zaś warci jako ludzie oba,
Niech każdy sądzi jak mu się podoba!...

Z rubryki głupstew jest wypadek drugi
W zakulisowym narodku czupurnym,
Bo pan Czelański nie kontent z Myszugi
W konflikt wszedł pono z śpiewaka „*C*“
[górnem,
Zniewagę ową rozstrzygnie pistolet...
Bijcie się bijcie, nie szkodzi!... *non olet!*

U nas są inne bole i rozpacze,
Sam Rebe Ignac „bosiny“ odprawia,
W ciężkiej żałości zawodzi i płacze
Na burżuazy gwałty i bezprawia:
Socyalistycznej miejskiej chorych kasie
Gdy chciała herbu — powiedziano: „Zasię!“.

„Zasię!“ — krzyknęła wzburzona opinia,
Zasię do naszych świętości i znaków!
Pomiędzy nami jest graniczna linia
To co wy chcecie — nie chce lud i Kraków!
Dotychczasowy wasz herb wam wystarczy:
Pejsata głowa i cebula w tarczy.

Albatros.



Rozpaczliwe wyścigi.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**